Nr. 1 LWÓW, 1 STYCZNIA 1937 R. Rok 59



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ROK 59. WE LWOWIE, 1 STYCZNIA 1937 R. Nr. 1

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

NA NOWY ROK!

Towarzystwo nasze ukończyło 60 lat pracy, przy współudziale trzech pokoleń z pod Sztandaru św. Huberta.

Mamy przekonanie, że ta praca nasza była owocną i żeśmy na polu podniesienia kultury, etyki i estetyki łowiectwa wiele zdziałali.

Być może natomiast, że nasze rezultaty na polu organizacji myślistwa były mniejsze, bo jakkolwiek zdołaliśmy przed laty skupić dokoła siebie półtora tysiąca myśliwych, nie zdołaliśmy ich wszystkich następnie utrzymać i zapobiec ich odpadaniu od nas w czasie kryzysu ekonomicznego.

Wszyscy prawidłowo polujący lub hodujący zwierzynę powinni jednak zrozumieć, że ich, wysiłki będą skuteczniejsze, gdy będą oparte o ogół myślistwa małopolskiego i ogólno-polskiego, gdy głos kulturalnego myślistwa znajdzie poparcie w solidarnej masie myśliwych.

W tym właśnie kierunku pójdzie obecnie nasza praca i pójść będzie musiała, bo w tym kierunku pójdzie także praca Polskiego Związku Łowieckiego, do którego wskutek przyjęcia w nowym statucie § 71, będziemy organicznie należyć. — Zniewoleni też będziemy w najkrótszym czasie zmienić statut naszego Towarzystwa, bo tego wymaga od nas i nowy statut Związku i choćby ta okoliczność, że odtąd każdy myśliwy będzie należał wprost do Związku, przyczem jednak na terenie Małopolski ta jego przynależność będzie uwarunkowaną przynależnością do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Wobec tych zamierzeń już dziś obarczamy naszych Delegatów i wiernych Towarzyszy ważnem zadaniem jednania nam, a tem samem Polskiemu Związkowi łowieckiemu, największej ilości nowych członków.

Mamy też wszelkie dane, że organ naszego Towarzystwa „Łowiec" nietylko się utrzyma, mimo zmienionych warunków, wśród których nam pracować wypadnie, lecz nawet, że go zdołamy wydawać taniej, i że będzie on jeszcze silniej łączyć w ideowej pracy małopolskich myśliwych.



WITOŁD ZIEMBICKI

OSTATNIE ŁOWY BATOREGO

W 350 rocznicę zgonu wielkiego króla (grudzień 1586 — grudzień 1936)

STEFAN BATORY był pierwszym z naszych królów, który doczekał się monografii jako myśliwy. Napisał ją, jak wiadomo, Adolf P a w i ń s k i[1]). Autor, zawodowy historyk, potraktował obszernie myśliwskie tło epoki, kreśląc na podstawie rozmaitych źródeł, w wielkiej mierze archiwalnych, możliwie najwszechstronniej ówczesny stan łowiectwa w Polsce.



Portret olejny nieznanego mistrza. Muzeum im. Jana Sobieskiego we Lwowie.

Ale — rzecz szczególna — charakterystyka myśliwska samego króla wypadła w pracy tej właściwie najsłabiej. Możemy wprawdzie przez analogię przenieść na jego osobę, jako na symbol współczesnych zwyczajów, mutatis mutandis to wszystko, co Pawiński przypisuje ówczesnemu myśliwskiemu społeczeństwu, — na pytania jednak konkretne: kiedy, gdzie i jak polował Batory, odpowiedzi w tej pracy albo wcale nie znachodzimy, albo znachodzimy ją tylko przybliżoną. Znając jego pasję myśliwską, możemy ogólnikowo powiedzieć, że polował wszędzie, gdzie mógł i zawsze, kiedy tylko mógł. Bardzo mało natomiast dowiadujemy się o jego s p o s o b a c h polowania. Wyzyskane przez Pawińskiego rachunki dworskie notują, że wtedy to a wtedy poniesiono taki lub inny wydatek na psy lub sokoły, gdzieindziej zapisano, że król polował w Niepołomicach[2]) (podobnie jak skądinąd znowu wiemy o pamiętnym „politycznym" polowaniu u Zamoyskiego w Zamchu[3])), że współczesny Batoremu poeta upamiętnił owe „sieci trzeciomilne" a także broń kulową, już przez króla używaną[4]), ale wszystko to daje obraz tylko przybliżony, a jeśli nawet pozwala na pewne wnioski, to nie dadzą one oczekiwanego wglądu w rzeczywistość, a tym samym nie będą odpowiedzią na pytanie: jak polował Batory. Zdaje sobie z tego bardzo dobrze sprawę Pawiński i dlatego usiłuje brak wystarczających przekazów historycznych zastąpić do pewnego stopnia fantazją. „A na zakończenie obrazku — pisze — kilka jeszcze pociągów pendzla z niebogatej naszej palety" i przy pomocy wyobraźni odtwarza scenę wyjazdu na polowanie i kilka fragmentów myśliwskich, naczelne miejsce poświęcając sokolnictwu.

Pawińskiemu jednak, pomimo jego niewątpliwego autorytetu, nie można oszczędzić zarzutu, że w niektórych swych przypuszczeniach, a nawet twierdzeniach, posunął się za daleko. Dowodzi to, jak niebezpiecznie jest zapuszczać się na teren sobie nieznany. Zupełnie słusznie Rostafiński zarzucił mu, „że ten gładki szkic literacki pisał niemyśliwy"[5]). Domysły Pawińskiego, że słynne dziełko Mateusza Cygańskiego: „Myślistwo ptasze"[6]), nie tylko mogło być napisane pod wpływem wyraźnej zachęty królewskiej, ale że nawet mogło być wynikiem wspólnych Cygańskiego z królem polowań, odpiera Rostafiński jak najkategoryczniej. „W tym przypuszczeniu — mówi Rostafiński bardzo słusznie — odsłania się właśnie literackie traktowanie przedmiotu. Batory, mający jako król, wyłączne w kraju polowanie na tury i żubry, miałby się parać ptasznictwem? Przenigdy!..." Uczyniłem tu tylko jed-

[1]) P a w i ń s k i A., Źródła dziejowe, t. XI, Akta metryki koronnej co ważniejsze z czasów Stefana Batorego (1576—1586) z rozprawką: Stefan Batory jako myśliwiec, Warszawa, 1882.

[2]) Jak inni nasi królowie, tak i Stefan Batory niejednokrotnie przebywał w Puszczy Niepołomickiej. Ostatnio w r. 1585 spędził on tam lato i część jesieni. W związku z Niepołomicami powstała nieprawdziwa wersja o romansie królewskim z córką burgrabiego tamtejszego zameczku. Wersja ta miała źródło w relacjach tajnego wywiadu, utrzymywanego przez Rudolfa II za pośrednictwem Kamery wrocławskiej. Por. m. i. K r a u s h a r A., Czary na dworze Batorego, Kraków, 1888, str. 75—78.

[3]) Z okazji pobytu Batorego w Zamchu napisany został ów słynny poemat Jana K o c h a n o w s k i e g o: „Dryas Zamchana". Por.: Z i e m b i c k i W., Jeden z białych kruków Biblioteki hr. Tarnowskich w Dzikowie, Łowiec, Lwów 1928. Podobizna autografu Jana Kochanowskiego „Dryas Zamchana" przechowanego w Bibliotece Ordynacji Zamoyskiej, wydał i opatrzył wstępem W. Z i e m b i c k i, Lwów 1928; referat wygłoszony przez tegoż na Zjeździe Bibliotekarzy i Bibliofilów polskich we Lwowie 1929, Pamiętnik Zjazdu i odbitka.

[4]) B i e l a w s k i Tomasz, Myśliwiec, Kraków 1595.

[5]) R o s t a f i ń s k i J., O myślistwie, koniach i psach łowczych książek pięcioro z lat 1584—1690, Kraków 1914, str. V.

[6]) C y g a ń s k i Mateusz, Myślistwo ptasze, Kraków 1584.

no zastrzeżenie: co do sokolnictwa, bo uprawiał je Batory niewątpliwie. Sokoły, niektóre ich gatunki mianowicie, puszczano wprawdzie także i na zające, ale główną przecież atrakcją sokolnictwa było polowanie na ptactwo. Ptactwo wybrane, co prawda, jak n. p. czaple. Inny jeszcze zarzut możnaby uczynić Pawińskiemu. „Bywały oczywiście łowy — powiada on — i na grubszą zwierzynę, na dziki i niedźwiedzie z oszczepem, na żubry z rusznicą“... Nie potrzeba być bardzo biegłym w historji naszego łowiectwa, ażeby zrozumieć oczywisty nonsens, jaki tkwi w wyobrażeniu o polowaniu „na żubry z rusznicą“. Powoływanie się Pawińskiego na cytat z Bielawskiego, że „żubra snadniej z półhacza między rogi uderzyć, niechaj się obraca...“ należy zupełnie inaczej rozumieć[7]). Na niedźwiedzie z oszczepem, — to jest prawdziwe. Co do dzików zaś, zobaczymy niżej, jak to z nimi bywało.

Pragnę tu zwrócić uwagę na źródło, które, jeśli chodzi o wgląd w zwyczaje myśliwskie króla Stefana, przewyższa pod tym względem wszystkie inne. Mam na myśli polemikę, jaka wywiązała się po śmierci króla pomiędzy dwoma jego lekarzami przybocznymi. Jednym z nich był Buccella, dawny i główny medyk królewski, drugim Simonius, zaangażowany znacznie później, do pomocy. Wobec tego, że dosyć nagły i dla społeczeństwa zupełnie nie spodziewany zgon Batorego, wywołał poruszenie w całym kraju i najrozmaitsze komentarze, wspominające nawet o otruciu, obaj ci lekarze wystąpili publicznie w szranki, zwalczając się namiętnie w szeregu drukowanych broszur i zarzucając sobie wzajemnie nieuctwo i nieudolność w pielęgnowaniu króla, a tym samym przyspieszenie katastrofy[8]). Między zarzutami znajdował się i ten, uczyniony przez Simoniusa, że Buccella zbyt lekkomyślnie tolerował nadużywanie przez króla trudów myśliwskich. Tłumaczył wprawdzie Buccella w odpowiedzi, że właśnie polowanie było dla króla czynnikiem dodatnim i podtrzymującym zdrowie, ale miał on słuszność tylko do pewnego stopnia. Gdy bowiem przyjrzymy się relacji z ostatnich łowów Batorego, przedstawionej przez Simoniusa jako ich świadka naocznego (Buccella wtedy właśnie był na kilka dni wyjechał do swego majątku pod Grodnem) i gdy zdamy sobie sprawę, w jakich warunkach te łowy się odbywały, nie możemy wątpić, że wpływ ich na zdrowie królewskie nie mógł być korzystny. Tym bardziej, że narażał się na nie człowiek chory i to poważnie chory. Dziś wiemy, że król cierpiał na nieuleczalną chorobę nerkową, która doprowadziła do tzw. mocznicy czyli uremii, w ostatnich zaś dniach życia dostawał także napadów dusznicy bolesnej (Angina pectoris). Wiadomo wszystkim, jak zgubny może być wpływ zimna w cierpieniu nerkowym, wiadomo też, że tam, gdzie są po temu warunki, wysiłek fizyczny może spowodować napady dusznicy. „Zresztą w pewnym wieku — wywodzi Simonius[9]) — choćby nawet zdrowie miało pozory czerstwości, każdy błąd może przynieść szkodę niepowetowaną, nie dającą się już naprawić, jak za młodu; tymczasem król postępował tak, jakby ta prawda nie istniała; bez względu na stan pogody, bez względu na trudności terenu, oddawał się swym ulubionym przyjemnościom; czy to były łowy na zwierza, czy myślistwo ptasze, czy wreszcie rybołóstwo[10]), — nie było temu ani końca, ani miary; latem, jesienią i zimą, nieraz na czczo, do dnia, to znowu wieczór, lub w nocy, bez względu na upał czy chłód przejmujący, gwałtowny wiatr lub gołoledź, w śniegu, czy brudzie i kurzu, w mgłę, deszcz, czy pogodę, dzień w dzień bez mała, — nie opuszczano żadnej sposobności w wiecznej pogoni za zwierzem, czyniąc zadość niepohamowanej namiętności, z wyraźną szkodą dla zdrowia.“

Po tej ogólnej charakterystyce podaje Simonius opis ostatnich łowów królewskich, prowadzony w formie diariusza na podstawie bezpośredniej obserwacji. Cały następujący ustęp przytoczę w przekładzie, którego dokonałem według oryginalnego tekstu łacińskiego. Będzie to też pierwsze zużytkowanie tego tekstu in extenso w języku polskim. Pawińskiemu znana była wprawdzie polemika obu lekarzy, bo w swej monografii o Batorym powołuje się na nią. Ale niewątpliwie znał ją niecałą. Inaczej byłby się nie powstrzymał i nie mógł by się był powstrzymać od zacytowania tak ważnych do oceny myślistwa Batorego wiadomości. Usprawiedliwieniem może być jedynie wielka rzadkość pierwszej broszury Simoniusa, t. j. broszury otwierającej całą polemikę, a zawierającej relację o ostatnich łowach królewskich[11]). Tytuł jej brzmi: D[ivi] Stephani primi Polonorum Regis etc... Sanitas, Vita medica, Aegritudo, Mors, a Simone Simonio... itd. Nyssae, Anno M. D. LXXXVII (1587)[12]).

Oddaję głos Simoniusowi:

„Gdy król bawił w roku 1586 na Litwie, w Grodnie, nastały w czasie przesilenia zimowego (to jest między 25 listopada a 7 i 8 grudnia podług kalendarza zreformowanego) tak niespodziane i wielkie mrozy; że nawet ludzie urodzeni i wychowani na tamtejszym surowym i zmiennym klimacie, trudno je znosili. Utrzymywała się przy tym gęsta mgła, a powietrze było burzliwe z powodu gwałtownych i zmiennych wiatrów. Najpierw, począwszy od przesilenia, dął wiatr północno-zachodni; potem silniejszy i bardziej północny wraz z gęstym i mroźnym

---

[7]) W sprawie sposobów polowania na żubry por.: Ziembicki W., Polskie żubry i tury w poemacie łacińskim z r. 1502, Łowiec Polski 1934; tegoż, Konrad Celtis i pierwsza pieśń o żubrze, Łowiec 1934; tegoż, Konrad Celtis i jego pieśń o Wiśle, Il. Kurjer Codz. Nr. 28/1935; tegoż, Sobiesciana, przyczynek do pracy: Jan Sobieski jako myśliwy, Łowiec 1933 (tam w relacjach Connora).

[8]) Zestawienie tych pism polemicznych zob. u Gąsiorowskiego L., Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce, t. I, Poznań 1839, str. 279 i u Zakrzewskiego W., Stefan Batory, Kraków 1887.

[9]) Słowa te Simoniusa przytaczam w streszczeniu, we własnym przekładzie.

[10]) W oryginale: *Venatio, aucupium, piscatio. Venatio* (łowy), *piscatio* (rybołóstwo), nie potrzebuje bliższych komentarzy. Wyrażenie *Aucupium* pochodzi od *avis* (ptak) i *capio (chwytam)* W danym wypadku chodzi niewątpliwie o Sokolnictwo, zwłaszcza, że łacina właściwego terminu na oznaczenie sokolnictwa nie posiadała. Mógł zresztą król dla rozrywki przyglądać się różnym sposobom chwytania ptaków, podobnie jak się przypatrywał łowieniu ryb, nie potrzebując się osobiście tem „parać“ jak mówi Rostafiński.

[11]) Przypuszczenie moje, że Pawiński nie znał tej pierwszej i otwierającej całą polemikę, broszury Simoniusa jest tym więcej usprawiedliwione, że nie miał jej w ręku także znakomity historyk i znawca epoki Batorego, prof. Wincenty Zakrzewski.

[12]) Zamieszczam podobiznę karty tytułowej, wykonaną podług egzemplarza z mego zbioru prywatnego.

śniegiem, podobniejszym raczej do drobnego gradu; a wreszcie lodowaty wicher czysto północny[13]).

„Ale król, bynajmniej nie odstraszony gwałtownością i okropnością tej aury, codziennie wczesnym rankiem, zaraz po śniadaniu, udawał się w pole dla ścigania zajęcy. Nie był przy tym wcale odziany lepiej niż zazwyczaj. Miał na sobie długą szatę jedwabną, na którą wdziewał rodzaj węgierskiej opończy, sobolami podbitej. Ta jednak była bardzo przestronna i nie przylegała do sukni, a więc nie chroniła należycie ciała od zimna. Do tego letnie spodnie i pończochy, a głowa ledwie że nie obnażona, bo jedynie węgierskim kapelusikiem, a raczej czapeczką przykryta. Na nogach zwyczajne skórzane trzewiki na obcasach. A przecież równocześnie inni ludzie, o ile nie chowali się po ciepłych izbach, starali się przez użycie podwójnej i ciepłej odzieży stawić jako tako czoło niebywałemu zimnu. Widziałem, jak król powracał z pola z tak skostniałymi nogami, plecami i tak przemarzniętym całym ciałem, że ledwo przy wielkim ogniu przychodził do siebie.

„Z tego to powodu wydzielina z owrzodzenia na goleni stała się bardzo skąpa, zaczęło więc ono podsychać[14]), a klatka piersiowa straciła elastyczność i uległa jakby ścieśnieniu, co wywołało trudności oddechowe.

„Drugiego grudnia, który to dzień z powodu wichru, śniegu i zimna należał do najprzykrzejszych, postanowił król udać się do lasu kundzińskiego na dziki[15]). Wyruszono przed wschodem słońca. Do Kundzina jednak, wioski, leżącej dobrych 5 mil litewskich za Grodnem, zdążył orszak nie rychło, bo po drodze przetrząsano wszelkie możliwe miejsca w poszukiwaniu zajęcy. Za zającami puszczano psy, za nimi zaś pędziło co koń wyskoczy kilku dworzan. Sam król, konno, postępował powoli i przyglądał się, jak szczuto i jak chwytano zająca, albo też jak się wymykał i uchodził pogoni.

„Dnia tego przyszło do zupełnego zatrzymania wspomnianej wydzieliny. Towarzysząc królowi, oceniałem grożące stąd niebezpieczeństwo i zwróciłem mu uwagę na ów niepomyślny objaw, wywołany niewątpliwie działaniem zimna. Ale król odparł, że nie ma zamiaru zamykać się w klatce, że dość już ustępuje w innych rzeczach, ale w tym jednym pragnie pójść za wrodzonym upodobaniem i pozostać przy swym starym przyzwyczajeniu, a wreszcie, że skoro dotychczas nigdy mu nie szkodziło, to i teraz nie należy w tym względzie żywić żadnej obawy.

„To też dnia następnego, t. j. 3 grudnia rano, może na półtory godziny przed wschodem słońca, z całym niemal dworem wyruszył do lasu, odległego o 2 dobre mile od Kundzina. Po przybyciu na miejsce, sam w towarzystwie kilku tylko — jak zwykle — najzaufańszych swych strzelców[16]), usadowił się na wybranym stanowisku, tak, by z ukrycia mógł pociskiem dosięgnąć dziki, ruszone z ostępów przy pomocy psów i ludzi i pędzone tamtędy[17]). Na tym strawił dzień cały. Do Kundzina powrócił mniej więcej o godzinie drugiej w nocy[18]). Tu, odprawiwszy wszystkich, kazał mnie wezwać. Gdy przybiegłem, wyznał mi, że w czasie drogi powrotnej doznał niezwykłego objawu. Wcale nie był, jak mówił, fizycznie zmęczony, gdyż polował na dziki prawie ciągle w pozycji siedzącej, w czasie powrotnej jednak jazdy, wolnej, wygodnej, nie trzęsącej[19]), uczuł nagle silny ucisk w piersiach. Trwał on nie więcej jak pół kwadransa. Usłyszawszy to, powtórzyłem królowi z całą odwagą swą dawniejszą opinię, a mianowicie, że przyczyną złego jest ustawiczne i nierozważne polowanie, że wskutek zimna skurczyła się skóra, ucierpiała klatka piersiowa, zwęziły się żyły, a wydzielina, sącząca się dawniej bez przerwy z owrzodzenia, do wnętrza wpędzona została. Dodałem, że jeżeli król na przyszłość nie zechce się oszczędzać i szanować, to, wobec postępującego przecież wieku, można będzie się obawiać jeszcze poważniejszych skutków. Widząc jednakże, tak z twarzy, jak z mowy, że król był tymi nowymi objawami nieco przestraszony, starałem się go rozerwać i rozweselić rozmową o odbytych, a tak szczęśliwych łowach (ubił bowiem tego dnia około 20 dzików) i o innych pomyślnych rzeczach.“

D. STEPHANI
PRIMI POLONORVM
Regis Magnique Lithuanorum Ducis, etc.

Sanitas, Vita medica, AEgritudo, Mors.

A.
SIMONE SIMONIO Med. Doct.
atq; intimo Maiestatis illius Medico.

Iussu, & voluntate, Illustrissimi Domini Domini
Alberti Radzivvili, Ducis in Olicka, & Niesvviecz,
Magniq; Ducatus Lithuaniae supremi
Marscialci exposita, scriptoq;
comprehensa.

NYSSAE TYPIS ANDREAE
Reinheckelij. Anno
M. D. LXXXVII.

Karta tytułowa w pomniejszeniu, wykonana podług egzemplarza ze zbiorów własnych W. Ziembickiego.

Po zastosowaniu środków leczniczych, które Simonius szczegółowo opisuje, noc przeszła spokojnie. Nazajutrz postanowił król wracać do Grodna.

„Dnia tego, a był to czwarty grudnia, — pisze dalej medyk — czas był jeszcze okropniejszy niż dotąd i mróz

[13]) Nazwy tych wiatrów w oryginale: *Argestes*, *Circius* i *Aquiol*.

[14]) Król miał od wielu lat cieknące owrzodzenie na goleni.

[15]) W oryginale łacińskim: *Sylva Conginensis*. Pawiński i inni historycy, nazywają ten las „kudzyńskim“. Sprostował ten błąd Jankowski T., w pracy pod tyt.: Śmierć Stefana Batorego w Grodnie, Grodno 1930, str. 18. Ma być las „kundziński“, gdyż miejscowość, od której pochodzi ten przymiotnik, nazywa się Kundzin, a nie Kudzyń.

[16]) W oryginale *Sclopettarii*, a więc strzelcy. Posługiwali się oni niewątpliwie bronią palną. W owym czasie były już w użyciu rusznice z zamkiem, nakręcanym korbką i rodzajem sprężynowego kółka. Spotyka się na nich często ozdoby z wyobrażeniem scen myśliwskich, zwłaszcza z polowań na dziki.

[17]) W oryginale: *Sclopetto petere*, t. j. brać, dosięgać, przy pomocy broni palnej.

[18]) To znaczy siódma wieczorem, gdyż godziny nocne rachowano od piątej popołudniu.

[19]) Wracał więc wozem, nie konno.

srożył się jeszcze bardziej. Niemniej król zapomniał już o wczorajszym niebezpieczeństwie, toteż przez całą drogę, a tym samym przez cały prawie dzień, znowu polowano."

Na tym przerywam relację dosłowną i streszczę już tylko pokrótce przebieg dni następnych.

W piątek, 5 grudnia, pozostawał król przez cały dzień w domu, jadł skromny, postny obiad, ale popołudniu doznał znowu owego ucisku w piersiach.

W sobotę nie opuszczał również swych komnat. W niedzielę odradzał mu Simonius wyjeżdżania konno do kościoła, zwłaszcza, że można było w Zamku mszę św. odprawić, jak się to nieraz praktykowało[20]). Nie posłuchał jednak i pojechał. Po powrocie udał się wprost do sypialni, chcąc widocznie uniknąć zgiełku i natrętów. Dostał znowu napadu. Niestety i dalsze, coraz gwałtowniejsze, niedługo już dały na siebie czekać. W nocy powstał alarm. Oto gdy król wracał z ustępu, dokąd udał się, jak zwykle, utracił przytomność i upadł, kalecząc się przy tym dotkliwie w nogę. Oczekujący opodal dworzanin, usłyszawszy łoskot, nadbiegł zaraz i przy pomocy przywołanych ludzi przeniósł go do łóżka. Przyszedł do siebie, ale kilka dni następnych to już była tylko walka ze śmiercią. W piątek, dnia 12 grudnia 1586 r. wśród nowego napadu, duszności i drgawek, ducha wyzionął.

— — — — — — — — — — — — — —

Prawa natury okazały się silniejsze od potężnej woli wielkiego króla, którą usiłował wszystko przezwyciężyć. Jakże wymowne są dla nas refleksje Simoniusa! Czyż w oświetleniu tych paru ustępów o myśliwskiej wytrwałości Batorego nie występuje jego indywidualność jaskrawiej, niż w wywodach niejednego historiografa?

Myślistwo zaś jest ostatnim jego wysiłkiem. Dla miłości tej nieporównanej rycerskiej zabawy jeszcze w obliczu śmierci używa radości życia w głębi ukochanej puszczy. Straciwszy cały dzień wśród trzaskającego mrozu na łowach, których wynikiem było ubitych „około 20 dzików", nie dopuszcza myśli o znużeniu i gardząc wygodą, jeszcze nazajutrz harcuje po polu. I wreszcie, pomimo oznak niebezpieczeństwa, raz jeszcze dosiada konia — nie wiedząc, że dosiada go po raz ostatni, — by w świątyni uchylić czoła przed jedynym Majestatem, jaki uznawał.

Pisałem we Lwowie, we wrześniu 1936.

[20]) Kościół o którym mowa, była to dawna fara, czyli kościół Wniebowzięcia N. M. Panny. Król zaś mieszkał i zmarł na Starym Zamku, a nie w tak zwanej „Batorówce", jak to mylnie podawano. Por.: Jankowski o. c., rozdział V.: „Miejsce zgonu".



STANISŁAW KRASICKI

Łowiectwo w Iranie

Pisząc ten reportaż, niestety nie tyle z mych polowań w Iranie, ile z polowań irańskich wogóle — na wstępie samym chcę zwrócić uwagę na moment zasadniczy, który nie tylko może, ale z całą pewnością razić będzie czytelników myśliwych, a mianowicie na brak etyki łowieckiej myśliwych Iranu. — Uważam, że moim obowiązkiem jest nie tyle obronić ten stan rzeczy, ile podzielić się z czytelnikami mymi spostrzeżeniami, które do pewnego stopnia, względnie całkowicie — wybielą w naszym mniemaniu czarną hipotekę myśliwych Iranu.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że stara Persja i Persowie, byli zawołanymi, pasjonowanymi myśliwymi i nimi do dziś dnia pozostają. Ten rys myśliwski przebija się zarówno w starej jak i nowej sztuce perskiej. — Przebija się w godle państwowym z lwem na trzech łapach, z czwartą podniesioną do góry, uzbrojoną w miecz, w basreliefach Persepolisu i innych ruin wielkiej przeszłości z lwem stojącym na tylnych łapach, z Persem operującym nożem lwi pempek w starych i nowych miniaturach na papierze, kości lub metalu, ze scenami polowań minionych wieków. — A więc polowania par force na gazele z rysiem ułaskawionym, spełniającym rolę psa, polowania z psami na niedźwiedzie, pantery, tygrysy, dzikie osły, wreszcie z sokołem na ptactwo. Również myślistwo miało dać literaturze perskiej dużo tematu w zaliczanych do pereł międzykontynentalnych.

Zastanawiając się nad bodźcami stwarzającymi więźby moralne, stwarzające tą etykę (mówię jedynie o łowieckiej), która rozgranicza pewne postępki, zachowanie się myśliwego na właściwe i niewłaściwe, doszedłem do przekonania, że nie wiekami narosła kultura łowiecka stwarza je, ale zupełnie prozaiczny fakt ogałacania się danego kraju ze zwierzyny — trzebionej a nie polowanej, jak tego właśnie żąda i chce etyka prawdziwego myśliwego.

Etyka łowiecka występuje jako wtóry objaw prawodawstwa łowieckiego, stwarzanego przez jednostki zdające sobie sprawę, że stan ex lex w dziedzinie łowieckiej doprowadzi i doprowadzić musi do odzwierzynienia kniei i pól. Nie wchodzę tu, jakimi drogami idzie myśl tych ludzi, by zamienić się w obowiązujące prawo. Chodzi mi jedynie o to, że prawo zostaje narzucone via ciało ustawodawcze danego państwa przez nieliczne jednostki. Sądzę, że w każdej dziedzinie możnaby doszukać się takiej samej analogii i że na przykład w kodeksie zakaz nie kradnij — nie został wymyślony przez dziada, a jeżeli nawet przez niego, to w stosunku do gryzącej go wszy z doraźnym sądem na paznokciu — ale przez kogoś, względnie przez zbiorowisko ludzi, którym zależało, żeby nie tylko oni sami siebie, ale też prawo ich mienia chroniło.

Każdy kodeks łowiecki brał w ochronę zwierzynę nie tylko drogą skracania możliwości łowienia jej, przez wprowadzanie czasów ochronnych, ale też przeciwstawiał się wszelkim najbardziej może zwyczajowym sposobom ło-

wienia jej, o ile one były w niezgodzie z założeniem z celem ustawy — ochrony zwierzyny łownej.

Rzucony w ten sposób cel, przyświeczający ustawie, w grono myśliwych, nie tylko że znalazł w większości zrozumienie, ale też w konsekwencji wywiązała się emulacja między poszczególnymi z nich, która potem przechodziła w powszechność: by w swych łowiskach mieć jak największą liczbę zwierzyny, by zwierzyna, której trofea są zachowywane, miała warunki możliwie najlepsze, a w następstwie najkapitalniejsze trofea, by polować w najczystszy sposób, nie tworzyć postrzałków a jeżeli tak, to zadać sobie trud znalezienia ich itd. itd.

Moim zdaniem w ten sposób nastąpiły narodziny naszej etyki łowieckiej, nastąpiły tak samo, jak księgi handlowe z rubryką „winien“ i „ma“ i nie dla rubryki „winien“ lecz „ma“.

W kraju jednak, gdzie od zwierzyny się roi, gdzie nie trzeba chodzić na spotkanie zwierzny, tylko zwierzyna wychodzi na spotkanie myśliwego, brak właśnie jest tych momentów, któreby skłoniły człowieka z strzelbą, a więc z myślą o polowaniu, a więc o zabijaniu, do wyszukiwania sobie utrudnień przez nakładanie więzów przeciwstawnych zamierzonemu celowi.

Bardzo możliwe, że nasza etyka łowiecka zostanie przeszczepiona na grunt irański i jemu podobne kraje, jednak będzie to etyka cudza, przeszczepiona a nie wytworzona, gdyż jak mogłem stwierdzić, za dużo zwierzyny jest w Iranie, by móc przypuszczać, że myśliwi irańscy zaczną sobie przeszkadzać w polowaniach.

Po tych wstępnych deliberacjach, czytelnik sądzi, że w Iranie ustawy łowieckiej nie ma, — owszem jest. Jest, wprowadzona bardzo nie dawno i jest dzięki warunkom miejscowym, ustawą negatywną, to znaczy, że ona cośkolwiek może robi dla zwierzyny, jednak nie może działać wychowawczo na myśliwych. Ogranicza się do zakazu polowania w trzech miesiącach letnich. — Jeżeli się zważy, że dzięki upałom letnim, nikomu na myśl nie przychodzi polować, jest w tym samym postanowieniu zerem. Zabrania polować w rezerwatach Jego Wysokości (obszar odpowiadający bodaj Polsce), nie pozwala (co należy zapisać na jej dobro) polowania na gazele z samochodu. To jest wszystko. Nie wprowadza przymusu kart łowieckich, ani obwodów łowieckich, a przymus kart na broń, jest dyktowany tylko ze względów policyjnych, a nie łowieckich. Uważam, że ustawa może działać tylko wtedy wychowawczo, jeżeli wprowadza przymus obwodów łowieckich, w których dany właściciel jest nie tylko myśliwym, ale i hodowcą i ma w swej pieczy własne łowisko. Ponieważ w warunkach irańskich trudnoby żądać wprowadzenia jednostkowych — z punktu widzenia właściciela — obwodów łowieckich, według mego zdania należałoby wprowadzić przymus organizacyjny myśliwych łączących się w Towarzystwa, któreby otrzymywały obszary do opolowania. W tych warunkach możnaby wychować myśliwego o etyce zbliżonej do naszej.

Jeżeli łowiska nie są oparte na prawie własności a tylko to prawo rozciąga się na upolowaną zwierzynę, stan wytworzony w łowiskach irańskich przypomina trochę stosunki panujące u nas w pogranicznych rewirach ze złym sąsiadem myśliwym. Psychoza obopólnego wybijania jej, profilaktyczne unieszkodliwienie złego sąsiada, idące via zwierzyna, która wtedy spełnia rolę przysłowiowego i typowego kozła ofiarnego.

Na szczęście ogromne obszary państwa irańskiego, obszary dzikie, niedostępne, jeszcze długo będą zwycięsko chroniły zwierzynę irańską od zagłady. Do tego przyczynia się zakaz polowań na bezmiernych rezerwatach szacha, oraz surowe zarządzenia odnośnie posiadania broni palnej. Trzeba bowiem wiedzieć, że Iran jest obecnie jednym z najspokojniejszych, najpewniejszych państw na świecie. Złodziejstw, bandytyzmu, mordów rabunkowych nie ma na lekarstwo. Szach potrafił to wytępić, dzięki rozsianym wszędzie, nawet w najniedostępniejszych miej-

---

ZBIGNIEW HABDANK-CZARKOWSKI

Poemat lasu

CZĘŚĆ III.

ŚW. HUBERT

(Ciąg dalszy).

Wokół szumiały wysokie prabory
i pięły się w góry
strzępem,
kaskadą czyste pryskały strumienie,
mchy się tuliły
i drzew kładły cienie,
widma pajęczyn się snuły
w konarach
i duchy leśne błądziły
po jarach.

Wtem na szczyt góry
na leśną polankę odkrytą
zapadł Hubert na koniu
i stanął jak wryty....
jeleń, za którym oszalał w pogoni
na kuszy strzał
stał
i patrzył na jeźdźca w spokoju:

Hubert wyprężył jak żubr wszystkie mięśni —
bez korby napiął
sprężystą cięciwę
i już śmignął z konia,
już skrył się za grzywą
już miał...
Błysk!
Blask! —
w myśli zakręcił się przed oczyma las,
świat — człek — życie — pogoń — łowy — dziś
Krzyż!!!
Krzyż!
tam, wzwyż
wśród rogów lśnił,
tęczą promieniał i światłem tryskał
Krzyż!
„Chrystusie!

scach posterunkom policyjnym, dzięki odebraniu ludności broni, nie tak dawno jeszcze uzbrojonej od stóp do głów, wreszcie dzięki zakazowi importowania broni. Przepis ten jest tak ściśle przestrzegany, że mnie, mimo dużych protekcyj, nie dozwolono wziąć z sobą broni kulowej. Najgroźniejszym przeciwnikiem polowań w Iranie są te zakazy. Można wprawdzie, jeżeli ma się znajomych, pożyczyć broń, ale ona jest raczej tylko hałaśliwa, dobrej nie widziałem. Mówię tylko o kulowej, gdyż śrutową widziałem pierwszorzędną. Naboi bardzo trudno dostać, a ceny są diablo wygórowane. Dość powiedzieć, że Eley 12-ki kosztuje prawie dwa złote.

Po tych wstępnych uwagach przejdę do opisu Iranu z punktu widzenia geograficznego. Iran jest płaskowzgórzem sięgającym ponad tysiąc metrów nad poziom morza, otoczony wysokimi górami krawędziowymi, od północy pasmem gór Elburs z najwyższym szczytem wiecznie białego Demawendu 5670 m., następnie pasmami Dżagatai, Mirabi i Parapamis, na wschodzie potężnymi górami idącymi granicą Iranu i Afganistanu, na południu górami Mekranu, a na zachodzie Zagros. Płaskowzgórze powyższe, oraz góry je otaczające, dzięki brakowi opadów, przedstawiają krajobraz pustynny a jedynie w miejscach sztucznie nawadnianych można uprawiać ziemię. Kontrastem tej pustynno-granitowej, szaro-czerwonawej panoramy są wąskie, do przesady zielone, tryskające bujną roślinnością równinne pasma nad Morzem Kaspijskim i Zatoką Perską. Jedyne lasy spotykane w Iranie, rozciągają się na północnych stokach gór Elburs zasilane wilgocią klimatu morskiego, w prowincji Guilan i Mazanderan oraz w Arabistanie i częściowo Kurdystanie na zachodzie Iranu.

Przechodząc do opisu, względnie wyliczenia fauny irańskiej, interesującej myśliwego, chcę się zastrzec, że niestety muszę polegać prawie jedynie na informacjach otrzymanych od myśliwych irańskich. Ponieważ sam z swego doświadczenia, oraz diametralnie różnych relacyj otrzymanych, wiem, że nie zawsze można być pewnym zupełnej prawdziwości ich, piszę to wszystko z powyższym zastrzeżeniem. Czynię to pomimo, że sam robiłem korektę, chcąc w możliwie prawdziwym świetle przedstawić obraz Iranu z punktu widzenia łowieckiego. Do powyższego chcę dodać jeszcze i to, że bardzo mało myśliwych Iranu zna nomenklaturę naukową fauny irańskiej, co przede wszystkim ma zastosowanie do ptaków, dlatego też ten dział fauny choć najobfitszy, będzie potraktowany po macoszemu.

Rajem myśliwego, w snach wymarzonym, są łowiska rozciągające się na północy, nad Morzem Kaspijskim w zadrzewionej prowincji Mazanderanu i Guilanu. Ten entuzjazm mój do tych gór jest tym bardziej zrozumiały, że przejeżdżałem je w chwili, kiedy rokrocznie w tym okresie od 15 lat chodziłem po Karpatach z sztucerem, lornetką i muszlą. Jest tym bardziej zrozumiały, że po kilkudniowej podróży koleją i statkiem, rzucony o parę tysięcy kilometrów od Karpat, znalazłem się nagle niespodziewanie w ich sercu. Panoramy tych gór może potężniejsze w swej skali, nie mniej jednak rysunkiem i udrzewieniem przypominającym z daleka gonną, strzelistą matecznikową buczynę, kazały mi wierzyć, że jakimś cudem znalazłem się na rykowisku w Karpatach. Koloryt jedynie nie jesienny ale letni tych borów studził mą gorączkę karpacką.

Istne cudy słyszałem o tych dziewiczych lasach, w których żyje tygrys, największy na świecie, w których żyje pantera, w których żyje ryś, niedźwiedź szary, dochodzący do 175 cm, oraz jeszcze mniejszy z krawatem białym, Maral ryczący pod koniec września i początkach października, dzik, wilk, hiena, lis i niezliczone ilości ptactwa, bażantów, nasze poczciwe długodzióbe słonki, mała kuropatwa nazywana Tejhou. Nie ma natomiast głuszców, cietrzewi i jarząbków.

O tych lasach mówiono mi, że w lecie i w jesieni są nie do przebycia. Nie chciałem temu wierzyć. Mając wolnych dwa dni, umówiłem się ze znajomym mającym samochód

---

Klęknę — modlitwa — upadła kusza — skomlą psy
Chryste — to Ty!
to jesteś Ty —
i patrzysz na mnie przez te
jelenie łzy
Ty! Ty! i Ty! — Chryste!“

Powoli stąpał jeleń
w poważną puszczy cisz,
a nad nim drgał,
promieniał
olbrzymi Chrysta Krzyż; —

zapadał mrok — — — — —
wstał Hubert — o swojej zapomniał drużynie
świat dlań jak gdyby skonał
a w oczach swych
młodzieńczych miał
Chrystusa Krzyż — Ramiona.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Wysłano czeladź na zwiady
trąbek rozbrzmiewał zew;
dwa dni, jak zginął Hubert
gdzie leży w szumie drzew?
zabit?
ranion?
zaginion?
zwied?*)
Nie!
On szedł...
do końca żywota swego
(a żywot był jego prześwięty)
o swojem powiadał widzeniu
przy każdej wyprawie zaczętej
i zawsze tak kończył opowieść:

„Nie godzien ów miana łowcy,
co w dzikim zapalon szale
za mięsem tylko skowyczy
i łamie życie zuchwale.

*) zwied — stara forma słowa „zbłądzony“, zwiedziony z właściwej drogi.

i pojechałem z Teheranu świeżo wybudowaną drogą Teheran-Czalus nad morzem Kaspijskim, by oglądnąć sobie tą dżunglę. W tym miejscu należy wspomnieć, że słowo dżungla zostało przez Anglików zapożyczone z Indyj a te z kolei wzięły je sobie od Persów. Słowo dżungla po persku nie oznacza nic innego jak las. Jeżeli już jesteśmy przy etymologii, to chcę również wspomnieć, że jest prowincja w Iranie, która nazywa się Gorgan. Gorg po persku znaczy wilk. Czy nasze Gorgany w Karpatach nie przyjęły może swej nazwy z Persji?

Pojechaliśmy więc doskonałą drogą i doskonałym samochodem — bo tam nie ma hasła: przez martyrologię do motoryzacji — do tego Czaluzu. Gościniec ten całkowicie wykuty w skale, wije się nieprawdopodobnymi serpentynami, nad przepaściami w górach, pokonując na swej drodze wzniesienia ponad 4 tysiące metrów. Ten, jak zresztą wszystkie gościńce w Iranie, jako świeżo zbudowane i wyraźnie z celem: dla samochodu, nie męczy zupełnie maszyn. Jednak technika prowadzącego, musi stać na poziomie bodaj czy nie sztuki, gdyż wąskość dróg, ciągłe zakręty, bardzo ożywiony ruch samochodowy, oraz mnogość karawan osiołków i mułów, sprawia sytuacje groźne i w każdej chwili prawdopodobieństwa dania nura w wielosetmetrową przepaść.

Zmierzchało się już, gdyśmy osiągnęli zaśnieżone szczyty najwyższego wzniesienia drogi i zaczęli łagodnymi pętlami opadać w krainę Mazanderanu. Tak jak przedtem, pięliśmy się ciągle po górach bez najmniejszej zieloności, z ciągle sterczącymi po wariacku poszarpanymi skałami, tak teraz naokół widać było nagłą zmianę na stokach północy. Tak, jak to na pierwszych ciągach słonek, gdzie jeszcze brudnymi łachami tu i ówdzie spotyka się śnieg, a krzaki i drezwa, choć szare, zdają się wiosnę zwiastować jakąś podświadomie wyczuwaną zielonością z pod kory wypieraną budzącymi się sokami do życia, tak tu niby szare skały, nagie góry zsypujące z siebie miliardy grechotów, okryły się nagle jakąś zielonawą pleśnią, potem mchem, wreszcie kopicami krzaków, przechodząc dalej w gęsty skołtuniony dywan bujnej zieloności. Jeszcze parę kilometrów i wjeżdżamy w tunel wspaniałych gonnych drzew, powiązanych na wszystkie strony, lianami pnączem pasożytów, obejmującemi pnia po korony, tworzące żywe, zielone sklepienie tego tunelu, przebitego przez dżunglę Mazanderanu.

Na noc zajechaliśmy do hotelu położonego nad morzem a będącego własnością Jego Wysokości. Hotel — bardzo porządny z łazienkami, z cudownymi dywanami, z obrzydliwymi meblami a wyśrubowanymi cenami — był puściusienki. Przed udaniem się na spoczynek słyszałem zewsząd jakieś szatańskie chichoty, jak mnie objaśnił mój towarzysz, źródłem ich są szakale, których ma być w Mazanderanie bardzo dużo.

Rano obudziłem się o wschodzie słońca (nie brzmi to tak tragicznie gdyż dzień robi się dopiero o 7-ej) nie ubierając się — gdyż chciałem pierwej wykąpać się w morzu — idę na śniadanie. Tam podczas spożywania zwrócił mi uwagę dyrektor, że ten strój nie jest przewidziany w hotelu Jego wysokości. Zapytałem się, czy należy w smokingu kąpać się w morzu i chcąc nie chcąc, musiałem na pijamę naciągnąć spodnie, bluzkę i w ten sposób dokończyć śniadania. Jest rzeczą zabawną, jak obyczaje tego kraju na gwałt załapane w Europie, są pełne oficjalnego protokołu, protokołu przestrzeganego przez policję. Wystarczy powiedzieć, że Irance, wszystko jedno jakiego stanu, nie wolno po ulicach chodzić z gołą głową, musi mieć kapelusz, inaczej policjant zawróci, nałoży karę i jeszcze jakieś nieprzyjemności dodatkowe.

Korzystając ze ślicznego dnia pełnego słońca, pojechaliśmy kilkanaście kilometrów gościńcem, prowadzącym do Pahlavi, gościńcem objętym z jednej strony lekko falującym, turkusowym morzem a z drugiej zielona dżungla, piętrząca się po tarasowato rozłożonych coraz wyżej i wyżej górach. Co chwila płoszone samochodem porywały się ogromne stada kaczek, które dla mnie bezimienne, coraz nowymi gatunkami, legitymując się upierzeniem, były źródłem podziwu a zarazem zagadki. Jedynym ptakiem wśród tej czeredy nieznanych brodźców, szczudłaków itd. itd., szarych, czarnych, pstrych, olustrzonych, stalowych — były czaple. Jedna ardea cinerea, a druga — jak rasowa kobieta, zgrabna, przegibna, biała jak śnieg rysowała swe szlachetne kontury na seledynowym morzu — Nadobna. Od czasu do czasu pasło się, względnie leżało nad morzem, jakieś bydło z przodem groźnie przebudowanym z garbem jak bochen, z długim opływającym włosem na małej złej głowie. Te stada, należące do mieszkańców Mazanderanu, dziko pasące się w dżungli i półdzikie same, z roku na rok zostawiają odsetek w lasach, który zdziczały, łudząco przypomina bizony. Są one nie tylko niebezpieczne (mówię tu o tych „swojskich“) dla człowieka, ale też jedynym i najgroźniejszym wrogiem tygrysa. Jak mnie zapewniał Dr Stump z pochodzenia Szkot, z narodowości Szwajcar z naturalizacji Irańczyk, wielki myśliwy na swój sposób, zamieszkujący od przeszło 30 lat Iran — każde stado tego pół dzikiego bydła wybiera sobie wśród siebie jakąś wybitną jednostkę za przewodnika i wodza. Taki przewodnik jest najlepszym opiekunem swych wyborców. Odznacza się między innymi, wyjątkowym węchem. I jak

Nie godzien ów miana łowcy,
co wokół nie widzi Natury —
rzeźnikiem zwać się powinien,
nie synem łowczej wichury.

Nie godzien ów miana łowcy,
co nie czci godności zwierza,
nie widzi łez w jego oczach
i niemej skargi pacierza.

Nie godzien ów miana łowcy,
co liczbą zabójstw się szczyci —
bo za nic mu będzie Piękno,
a celem tylko — brać Życie!

* * *

Umarł już dawno Hubert
a łowcy po Jego śmierci
za zwierząt Go mają Patrona
i prawią o
Świętym Hubercie.

(C. d. n.)

tylko zwietrzy tygrysa,, donośnym rykiem mobilizuje całe stado, które odrazu strasznym galopem wali w gąszcz za nim. Dopadają tygrysa, otaczają ze wszech stron, roznosząc go na rogach i racicach. Podobno tygrys ma tak piekielnego stracha przed tym dziwnie wojowniczym bydłem, że w swej ucieczce, nieprzytomny i oszalały, kryje się często w zabudowania górali Mazanderanu. Fakt faktem, że podczas mego pobytu w Iranie zabito dużego tygrysa w prowizorycznym garażu, zbudowanym ad hoc przy wytyczaniu linii kolejowej w Guilanie. Podobno miał on tam się skryć przed atakiem rozjuszonego bydła.

Opowiadano mi, że dżungla w lecie i w jesieni jest nie do przebycia. Przyznam się, że temu nie wierzyłem i osobiście chciałem to stwierdzić. Zostawiliśmy samochód na szosie, kierując się w głąb lasu. Z początku szliśmy wygodnie ścieżką wydeptaną, wśród gęstych zarośli. Lasu wysokopiennego nie było, został on wytrzebiony przez górali, wypalających buczynę na węgiel drzewny. Gdyśmy przeszli ze dwa kilometry, powoli zaczynały wyłaniać się kolosalne sękate pradęby z liściem drobniejszym i o odmiennym rysunku od naszych. Zgrzani powitaliśmy z ulgą cień, rzucany przez coraz częściej pojawiające się drzewa. zrobiło się chłodniej, ale wilgoć zatrzymywana przez korony drzew, dusiła płuca i osiadała rosą na każdym liściu, na każdej gałęzi, jak to widać u nas na rannym podchodzie na rogacze. Coraz częściej spotykaliśmy — tak mi dobrze znane — ślady buchtowania dzików. Raz na miękkiej wilgotnej ścieżce znalazłem trop jakiegoś felida, dużego rysia, albo pantery. Nie jest to tutaj rzadkością, gdyż pantera w dużej bardzo liczbie zamieszkuje całą Persję i jest utrapieniem ludności, zarówno rabując chudobę, jak też rzucając się na pojedynczego człokieka. Szliśmy tak dalej i oczom mym ukazywała się coraz bardziej groźna, tajemnicza puszcza, o której przez całe życie marzyłem a teraz po niej deptałem, niestety bez broni, bez możności zapolowania. — Wszystko ma swój koniec i temu samemu prawu uległa ta ścieżka; stawała się coraz węższa, coraz mniej wyrazista, coraz częściej jakieś kolczaste krzewy zatrzymywały nasze kroki, wreszcie wsiąknęła, zaginęła w tej niesamowitej gmatwaninie krzewów, krzaków, pnączy, lianów i potężnych pni dębów, buków i innych drzew, których nazwy nie znam. Chciałem przejść, chciałem ręką rozsunąć te dyndające wiszące zapory tamujące me kroki, myśląc, że uczynię to z taką łatwością jak się rozsuwa serpentyny pijanej nocy sylwestrowej. Zrobiłem krok naprzód, ręce zanurzyłem w to zielone kłębowisko, by zrobić miejsce dla głowy. Z sykiem bolu wyrwałem już teraz nie kułaki, ale dwa kłębki jeży. W tej ułamkowej sekundzie miała czas dżungla wsadzić w me ręce kilkadziesiąt małych, średnich i bardzo wielkich kolców. Zrozumiałem, że dżungla jest niedostępna, zrozumiałem tym bardziej, że nawet gdyby w nią się dostać, karzyści żadnej nie byłoby. Można być na krok, nie przed tygrysem czy marałem, ale słoniem, gdyby nawet był, i nie widzieć go, nie móc się złożyć, nie móc wycelować. Nie eksploatowana dżungla, nie mająca halaw, nie mająca polan, jest jednym żywym murem nie do przebycia, murem uzbrojonym w kolce, w zabójczą wilgoć, która nocami nawet w lecie, jest nie do wytrzymania.

Podobno można jako tako wedrzeć się jeszcze powierzchownie ścieżkami zwierzyny, ale i wtedy rezultat myśliwski równa się zeru. W zimie natomiast, gdy liść opadnie, gdy wiele z tych pnączy zamrze, waląc się linami w ziemię, gdy mróz osuszy powietrze, można z powodzeniem polować w tej pięknej kniei. Tygrys pomimo tego, że nie jest tak rzadkim gościem, jest zawsze niepewnym. Osobiście nie spotkałem myśliwego irańskiego, któryby mógł się pochwalić strzałem do niego. Normalnie od czasu do czasu zabija ktoś z miejscowych górali, względnie wojsko, urządzające obławy na osobnika, rozzuchwalonego i robiącego szkody w dobytku górali, wzlgędnie rzucającego się na ludzi. Nie dawno opowiadano o wypadku, który miał miejsce w okolicach Czaluzu. Drwal perski przygotujący sobie drzewo na wypał węgla, zostaje nagle napadnięty przez kogoś od tyłu. Ogląda się i ku swemu wielkiemu niezadowoleniu widzi się w ramionach tygrysa. — Równocześnie z piekielnym wrzaskiem, od potencjału którego zależało jego życie, wali co ma sił w sobie ciupagą po łbie drapieżnika. I proszę sobie wyobrazić, że przy pomocy nadbiegłej odsieczy, te górale miały na rozkładzie wyrośniętego tygrysa!

Dopytywałem się wszystkich poznanych myśliwych Iranu, zarówno tubylców jak i zagranicznych, czy polowali specjalnie na tygrysy. Jedynie Dr. Stump, o którym wyżej wspomniałem, przez dwa tygodnie siedział w Mazanderanie z Amerykaninem specjalistą od tygrysów z wyraźnym celem upolowania wspaniałej zwierzyny. Choć znany im był przesmyk, choć tygrys, na którego mieli polować, był postrachem okolicy i stale w niej przebywał, nie udało im się dojść do strzału. W odróżnieniu do polowań indyjskich, a w zastosowaniu się do warunków miejscowych, poluje się na tygrysa jedynie z zasiadki przy padle, względnie przy przywiązanym koźlęciu bez matki, które swym głosem wabi z daleka tygrysa. Według relacji Dra Stumpa, największy tygrys upolowany za jego bytności w Iranie, mierzył bez ogona pełnych trzy metry. — Został zabity przez górala, który nalazł na niego zupełnie przypadkiem w dżungli i poprostu z rozpaczy wygarnął między ślepia jakimiś perskimi hufnalami i siekańcami. Zaraz potem, co sił w nogach zwiał. W parę godzin potem znalazł nieżywego potwornie dużego felida.

(C. d. n.).



Inż. MIECZYSŁAW BEILL

Polowanie w Rumunii

— Wstawaj bonikul[1])! Konstanca[2]! — komenderował mój luby wnuczek — za głosem kameristy[3]), zapowiadającej wjazd okrętu do portu i już tuż nade mną zadyndały jego drobne nóżki w różowej piżamce.

Jak wicher spadł na mnie — przerzucił się do łóżek przy drugiej ścianie kajuty, aby mesi i tatusiowi dać buziaka na dzień dobry — i jazda na pokład!

Promienie wschodzącego słońca złociły pięknie gmach gara maritima[4]) — dokąd zdążaliśmy. Setki srebrzystych mew szybowało obok parowca.

Wracaliśmy z dalekiego wschodu do Carmen Sylva[5]), gdzieśmy się w czasie dłuższego pobytu w Sanatoriul militar[6]) prawie zadomowili. Zostawiliśmy tam babkę, matkę i żonę w jednej osobie i od niej też dowiedzieliśmy się co zaszło w międzyczasie: alarmujące listy z kraju! natychmiast wracać, gdyż 23-ego września rozpocznie się we Lwowie ważna konferencja na której muszę być — polowanie na błotach w delcie Dunaju przygotowane — dziś przyjeżdża łowczy z Bukaresztu!

Znalazłem się między młotem a kowadłem! Obowiązek nakazywał natychmiast odjechać — żyłka myśliwska wywoływała widziadła pelikanów i łabędzi!

Niewiele było czasu do namysłu. Już około godziny 10-tej zjawił się p. Iglody, były rotmistrz honwedów, obecnie łowczy „Europy" instytucji rumuńskiej, zbliżonej do naszego „Orbisu".

Na wstępie wręczył mi kartę łowiecką, kartę na broń i pozwolenie z Ministerstwa rolnictwa na polowanie w okręgu Tulczia-Razelm. Opowiadał, że wędrowne ptactwo błotne odlatuje już z delty Dunaju na południe i gromadzi się w pobliżu Czarnego Morza, toteż jego zdaniem okręg przyzwolony mi do polowania rokuje dobre widoki.

Następnie pokazał mi dwie strzelby: angielkę Cal. 12 i Mausera 7 mm z wyśmienitą lunetą i przedstawił mi krótkowłosą brązową sukę Dianę, o manierach salonowych, z zapewnieniem, że jest niezawodną aporterką. Dalszy ekwipunek zawierał pryzmową lornetkę Zeissa, aparat fotograficzny, olbrzymie, lecz lekkie buty gumowe i moc ładunków.

To wszystko — prócz butów — nęciło, to też z trudnością wyjąkałem usprawiedliwienie, że nie będę mógł korzystać, bo już w najbliższych dniach muszę być w Polsce.

Ale p. rotmistrz Iglody nie dał się odprawić z kwitkiem. — Przecież macie tu państwo polskiego Fiata, za parę godzin możemy być na błotach , a z polowania odjedzi pan wprost na Gałacz do Polski!

Plan był dobry — do polowania nie trzeba mnie długo nakłaniać, to też w godzinę po naszej rozmowie wyrywaliśmy świetną szosą przez Konstancę i Ovidiu na północ w kierunku Tulczia.

Jechaliśmy przez rozległy step dobrucki — nużący, bo oko spocząć mogło tylko tu i ówdzie na nieznacznych wzgórkach.

Niebawem zdał rotmistrz wyśmienicie egzamin wzrokowy: — Mamy na lewo dużą grupę żurawi — zaraz je podjedziemy.

Przez najbliższy mostek zjechaliśmy z gościńca na pole. Fiat spisywał się świetnie — ciągnął trójką przez ścierniska równie dobrze jak przez łąki — tak, że szybko dostawił nas na odległość około 150 kroków od licznego towarzystwa żurawi. Oparłem ramiona wygodnie w otwartym oknie limuzyny, położyłem krzyż lunety dokładnie na środek piersi najbliższego ptaka i spokojnie ściągnąłem. — Pudło!

— Drobnostka — mówi rotmistrz, a mnie wstyd rozsadza — zaraz zjedziemy inne.

Miał rację — zjechaliśmy inne i... powtórnie chybiłem.

P. Inglody nie dał za wygraną — po raz trzeci znalazłem się przy żurawiach — lecz już tak byłem wściekły, że strzelać nie chciałem.

— No! proszę, może pan kapitan spróbuje? — zwrócił się uprzejmie rotmistrz do mego syna, podając mu karabin.

Zdjął ręce z kierownicy — zmierzył — strzelił i... chybił.

Jak bardzo cieszyłbym się, gdyby było inaczej — to jednak to trzecie pudło miało o tyle dobrą stronę, że uzyskaliśmy pewność — mimo protestu p. Iglodego, że luneta nie jest dokładnie ostrzelana.

Około godz. 15-tej, po przebyciu blisko 100 km od Carmen Sylva licząc, byliśmy na miejscu w Lunce, nad jeziorem Golowica, stanowiącym właściwie zatokę Czarnego morza.

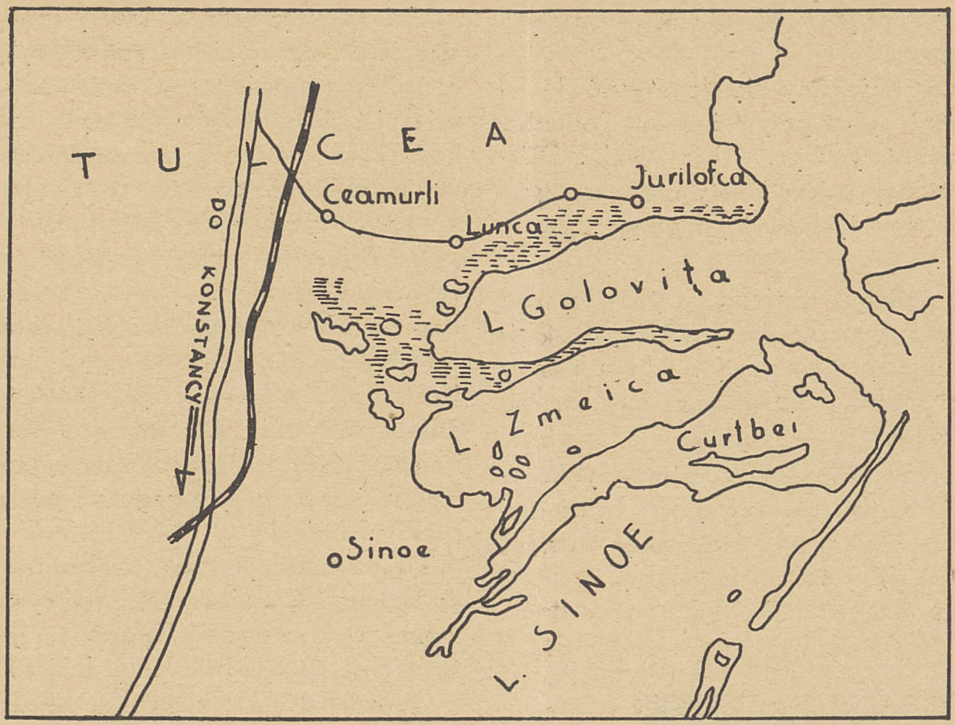
Pożegnałem mego syna, który wrócił do Carmen, aby zwinąć nasze letnisko, a w drodze powrotnej do Polski miał mnie dostawić z Lunki do stacji kolejowej w Gałaczu.

Lunka to mała wioska rumuńska okolona winnicami. Głównym źródłem dochodu mieszkańców jest rybołóstwo, które uprawiają wspólnie, złowione ryby oddają wieczorem do dużych, solidnie zbudowanych, krytych zbiorników, skąd je sprzedają i dzielą się pieniądzmi. Winem zdaje się niechętnie handlują — za to wieczór bez mała wszyscy mężczyźni są silnie „pod gazem!" Naczelnik pescarie[7]) jest jednocześnie zarządcą vanatoare[8]).

U pierwszego z brzegu wieśniaka znaleźliśmy dostatnio umeblowane dwa czyste pokoje — zjawiła się też zaraz gospodyni z dużą tacą doskonałych winogron, w których przede wszystkim rozsmakowała się Diana. Rotmistrz Iglody, widząc moje zdziwienie, wyjaśnił, że psy rumuńskie nie tylko jedzą chętnie winogrona, ale nawet częstokroć robią poważne szkody w winnicach, dokąd w nocy gromadnie wybiegają na wyżerkę.

Nasz stepanul[9]) zaprzągł konika do karucy[10]), po czym drożyną nad jeziorem zmierzaliśmy ku łodziom.

Pogoda sprzyjała (od połowy sierpnia do chwili odjazdu tj. do 22 września nie mieliśmy żadnego dnia deszczowego), na czystej tafli jeziora widzieliśmy wiele ptactwa błotnego, przy szuwarach przybrzeżnych pływały stada łysek, nieco dalej kaczki krzyżówki, cyranki, podgorzałki... ot! jak u nas. Nad naszymi głowami przeleciała kaczka o jasnej głowie i szyi, którą towarzysz mój oznaczył jako „Kalifarente".



Przy najbliższej parze kaczek, rotmistrz zatrzymał wózek i inwitował mnie do strzału. Ociągałem się, bo to były zwykłe krzyżówki, a odległość szacowałem na przeszło 80 kroków, więc obawiałem się, że pokaleczę je tylko. Ale rotmistrz napierał i tłumaczył mi, że chciałby widzieć jak strzelba bije, bo dostał je właśnie do próby. Ostatecznie w chwili gdy kaczki zbliżyły się do siebie strzeliłem. Obie zostały bez ruchu — Diana zaprezentowała mi się jako aporterka — a ja zyskałem zaufanie do Holanda, który jak się później okazało, bije fenomenalnie.

Czółna rumuńskie nadają się może dobrze dla rybaków, lecz nie umyły się do naszych, polskich używanych zwykle do polowań i rybołóstwa stawowego. Są to duże barki o bokach skośnych, nieco zaokrąglonych, złączonych u dołu pod kątem ostrym. Myśliwy siedząc w przedniej części takiej łodzi, ma dla oparcia nóg dwie bardzo niewygodne prawie prostopadłe powierzchnie, po których nogi ustawicznie się ślizgają i plączą. By zaradzić temu próbowałem podkładem trzciny, wyjechałem kolanami pod brodę i znów było nie dobrze. Poza tym brak płaskiego podkładu w łodzi powoduje zbytnie zagłębianie się barki i tak do polowania za ciężkiej — a więc trudność przepływania przez szuwary, oraz duża chybotliwość — co znów utrudnia strzały kulowe.

Moja załoga marynarska składała się z dwu ludzi, z którymi czyniłem nadludzkie wysiłki, aby się rozmówić w języku rumuńskim. Nie wiele rozumiałem ponad to, że odnosili się do mnie z wielkim zaufaniem, tytułując mnie domnule sale[11]). Gdy jednak parę słów zamienili między sobą, zorientowałem się, że bezpotrzebnie kaleczyłem szczupły zasób znanych mi słów rumuńskich. Są to bowiem Lipowanie, których język zdaniem moim jest mieszaniną rosyjskiego, ruskiego i może bułgarskiego — zaś zdaniem p. Iglodego — posiada znaczną domieszkę mongolskiego.

Porozumiewaliśmy się odtąd po słowiańsku bez trudu — a co najciekawsze w swojskim języku przeszliśmy z dużej tytulatury, bez żadnego wstępu na „ty“.

Dowiedziałem się od nich, że pelikanów ani łabędzi nie ma, białe czaple należą do rzadkości — natomiast dużo kaczek i gęsi, przelatujących żurawi — słowem: horoskop był marny.

Jeździliśmy przeważnie czystą taflą wody w pobliżu błot; na zapad do upatrzonego miejsca spóźniliśmy się, tak, że wieczór ten minął bez dodatnich wrażeń.

Przybiliśmy późnym zmrokiem do brzegu, gdzie rotmistrz przeglądnął rozkład, czaple wyrzucił do jeziora, kilkanaście kaczek i parę gęsi na wózek — zatrzymał się jedynie przy małej gąsce Anser Erythropus, twierdząc, że jej w Polsce nie ma, natomiast na południu jest pospolitą.

Załogę marynarską zamówiliśmy na przyszły dzień — poniedziałek rano — i... buna sera![12])

Przed świtem byłem już w barce. Znając teren nie miałem już większych aspiracji — toteż wróciłem niebawem z podobnym rozkładem jak w dniu poprzednim.

Ułożyliśmy się, że w tym dniu pojedziemy końmi do Żurałówki, wsi położonej nad tym samym jeziorem o około 10 klm na wschód, gdzie ma być eldorado białych czapli. Po drodze podjeżdżać będziemy żurawie.

Towarzysz mój opowiadał mi obszernie o życiu ptactwa wodnego i błotnego i wymienił kilka gatunków żyjących w tak zwanych koloniach. Zaliczył tu także czaplę białą — do której właśnie wzdychałem — i zapowiadał, że wiele ich, najczęściej w grupach, widzieć będę w Żurałówce. Życie pelikanów w koloniach, tłumaczył koniecznością zdobycia pokarmu. Duży ten ptak zjada dziennie 5—7 kg ryb, musiałby więc dobrze się zwijać, aby taką ilość w pojedynkę ułowić. W koloniach polują pelikany gremialnie, ustawiając się na morzu w długim łuku obok siebie — po czym płyną wolno naprzód i bijąc skrzydłami o wodę pędzą przed sobą ryby ku wybrzeżu, gdzie z płytkiej wody wyłapują je bez trudu.

Setki sznurów żurawi ściąga się też pod wieczór do kolonii. Wybierają w tym celu mielizny na jeziorach lub morzu. Myśliwi rumuńscy mówią, że nażerowawszy się do syta w polu, ciągną na wodę. Wody tej jest przecież tak

wiele, że chyba inny wabik gromadzi je masowo na tych samych małych obszarach.

Gwarząc na wózku zbliżaliśmy się do Żuralówki — gdy rotmistrz wypatrzył sporą grupę żurawi. Podjechaliśmy je i inne, strzelałem trzy razy... — bez wyniku... Kląłem w duszy, że przed wyjazdem lunety nie ostrzelałem i ślubowałem uczynić to natychmiast po przyjeździe do Żuralówki.

Duża to wieś, robi dodatnie wrażenie na pierwszy rzut oka: solidnie budowane obszerne budynki, czyste obejścia, okolone murami, nieszpetne kobiety w strojach narodowych — mężczyźni, mimo powszedniego dnia, dostatnio z pół-miejska ubrani.

Dozorcę polowania rządowego odszukaliśmy szybko — okazał się dobrym myśliwym, oświadczył, że będzie mi towarzyszył i zapewniał, że po południu zabiję żurawia, gdyż zna kolonię, gdzie się tysiącami gromadzą.

— A szo ty szcze chotisz strelat'?



Bez namysłu walę mu: — Łabędzia! — Aj... łabudia to ty już moż strelat'. Chwyta mnie chłopisko za rękaw i ciągnie na podwórze, otwiera drzwi komórki i wypuszcza dwa wspaniałe łabędzie (Cygnis Olor), złapane przez niego przed kilku tygodniami. Łabędzie w czasie pierzenia się w jesieni tracą tak znaczną ilość lotek i piór w ogonie jednocześnie, że z trudnością wznoszą się do lotu, a jeśli podlecą, to szybko znów zapadają. Wówczas miejscowi myśliwi manewrują dwoma barkami w ten sposób, aby je z morza wydostać na brzeg. Skoro się to uda, wyskakuje z łodzi czterech wioślarzy, dopędzają łabędzie, za szyję i do worka!

Tak opowiadał dozorca. Znał on kolonię łabędzi, wówczas tj. z końcem września już dobrze lotnych i jak mówił bardzo ostrożnych, lecz do nich było nam za daleko, zdecydowałem się tedy na pechowne dla mnie żurawie.

Kolonia ich znajdowała się na skrawku lądu, względnie błota porosłego szuwarem, oddzielającego jezioro Golowica od jeziora Zmejka. Odległość wynosiła około 5 klm, wioślarze preliminowali na przejazd przeszło 2 godziny, toteż wyruszyliśmy bezzwłocznie.

Tuż za przystanią, w której szeregiem stało kilkadziesiąt barek, a przy nich kręcili się rybacy i dzieci wiejskie, czerniła się powierzchnia wód od mrowia łysek, które uciekając do szuwarów, płoszyły kaczki, kszyki, dublety, kulony. Nieco dalej na mieliznie oddalonej o jakich 500 m od brzegu po raz pierwszy ujrzałem wspaniale na tle szuwarów rysujące się białe czaple (Ardea alba). Było ich kilkanaście sztuk, stały bez ruchu, jak gdyby wiedziały, że oczy wszystkich są w nie utkwione. Skierowaliśmy barkę w ich stronę, wioślarze pracowali co sił starczy, lecz trud był daremny. Kaczki i gęsi bliżej nas dotrzymywały jeszcze, gdy pierwsza czapla zerwała się do lotu, a za nią poszły wszystkie, bez reszty. Obserwowałem je długo i nie znalazłem odpowiedzie na pytanie, czy ptak ten piękniejszy jest w swej posągowej postawie, czy w majestatycznym locie?

To też słusznym jest, że biała czapla jest ustawowo w Rumunii chronioną. Miejscowym strzelać wogóle nie wolno, obcym myśliwym-gościom pozwala Ministerstwo Rolnictwa odstrzeliwać po jednej sztuce.

Opowiadał mi rotmistrz, że przed laty, gdy jeszcze nie było ochronnej ustawy, ubił przeszło 20 białych czapli na kapelusz dla swej bogdanki... Cóż z tego! Kapelusz zrobił niesłychaną furorę w operze bukaresztеńskiej, biedne czaple nie żyją, on został starym kawalerem, a ona? Nie wiem?

W połowie jeziora Golowica miałem wrażenie, że jesteśmy na pełnym morzu, ląd znikł z oczu, tu i ówdzie przeleciała mewa, natomiast coraz częściej przeciągały sznury żórawi, wszystkie w tym samym kierunku na wschód, ku kolonii.

Pogoda dopisywała, przy silniejszym wietrze przejazd barką byłby niebezpieczny.

Po przeszło dwugodzinnym wiosłowaniu przybiliśmy do skrawka lądu, dzielącego nas od jeziora Zmejka.

Przewodnik mój bez słowa usprawiedliwienia zostawił mnie z wioślarzami i odszedł, za chwilę wrócił, wziął śrutówkę i mówiąc: „chodi — budesz strelat'" skierował się ku szuwarom. Na moje pytanie, dokąd chce iść i za czym, odparł krótko, że za szuwarem „apa jeste niagre"[13]), tyle tam gęsi i kaczek. Energiczny mój protest, że przyjechaliśmy przecież na żórawie, nic nie pomógł. Zbył mię kategorycznie, że żurawi nie spłoszę, bo do kolonii dość daleko, jeśli nie chcę, to mogę nie strzelać do gęsi, ale muszę to zobaczyć.

Trzeba było ustąpić , podążyłem za nim. Przeszliśmy zaledwie 200 kroków, stąpając cicho po wilgotnym piasku, gdy przez lukę w szuwarach zobaczyłem raj ptasi. Przewodnik nie bujał! Tuż pod brzegiem dużej bajury żerowała zbita masa setek gęsi, za nimi czerniła się wstęga kaczek, a nieco dalej na mieliźnie, o jakich 80 kroków ruchliwa grupa dużych ptaków niby biegusów. Złożyłem się tam i gdy jeden z nich podlatywał, strąciłem go z prawki, po czym z lewki strzeliłem do porywającego się stada. Z wrzaskiem podniosło się wszystko ptactwo, zakrywając na chwilę lazur nieba.

Mój przewodnik wił się ze śmiechu! — Tu gyska[14]) — tu raca[15]) — a ty strelasz na kilometr do worobca!" Nie wystarczyło mu moje wyjaśnienie, że gęsi i kaczki są w Polsce, ciągle wracał do straconej okazji wyczynienia dwoma strzałami en gros spustoszenia, ostatecznie nie-

chętnie poszedł po wróbla i — ku memu zdziwieniu przyniósł mi niestety aż pięć! dużych dubeltów. Tak znowu moja nadzieja zdobycia egzotu spełzła na niczym.

Ulokowaliśmy się z powrotem w łodzi i wzdłuż cypla zdążaliśmy na zachód, sterując ku kolonii żurawi. Coraz gęściej nadciągały ich sznury, krążyły nad cyplem, częstokroć tak nisko, że przewodnik zachęcał mię do strzelania śrutem. Lecz nie dałem się nabrać, bo przede wszystkim chciałem zobaczyć kolonię w spokoju. Dzika rozpacz ogarnęła mię na myśl, że lunety przed wyjazdem mimo dobre chęci nia ostrzelałem.

Przybiliśmy znów do brzegu. Z Mauserem w ręku przeszedłem błotnisty cypel, kryjąc się za przewodnikiem. Z pozycji pochyłej przeszliśmy w czworonożną coraz ostrożniej zbliżając się do celu. Wreszcie przewodnik rozsunął zwolna przede mną szuwar i wówczas ujrzałem przed sobą żurawie, jak rój pszczół, w tak zbitej masie, że gdy się złożyłem, miałem lunetę wypełnioną bez reszty ich cielskiem. Odetchnąłem z ulgą, bo pudło było wykluczone, położyłem krzyż na pierś największego ptaka i ściągnąłem cyngiel. Dozorca wygarnął, mimo poprzedniego zakazu, dwukrotnie z Holanda do wzlatującego towarzystwa, lecz bez rezultatu. Gdy go za to łajałem, ukazał mi wioślarz, na lewo od nas zaledwie o 30 kroków stojącego żurawia, który wolno za innymi zrywał się do lotu. Byłbym go z łatwością dostał, lecz Holanda mimo ejektorów nie zdołałem na czas naładować.



Przyniesiono mi żurawia, dużego koguta, na szczęście niezbyt uszkodzonego kulą. Wracaliśmy szybko, by zdążyć na ciąg wieczorny pod Żuralówkę. Białych czapli nie widziałem, więc strzelałem, rozkoszując się razancją śrutówki.

Nie mogę się powstrzymać od opisu wyjątkowego zdarzenia: Strąciłem właśnie kaczkę ciągnącą nisko nad wodą, gdy w kierunku strzału ujrzałem w odległości przeszło 150 kroków ruch skrzydeł dużego ptaka. — To ty szparujesz karbuczi — zawołał mój przewodnik i niebawem wioślarze wrzucili do łodzi dużą czaplę siwą, która przypadkiem znalazła się w linii śrutów wysłanych kaczce. Przy takiej odległości był to zapewne wyjątkowy wypadek, lecz takie przypadki zdarzają się, jak wiadomo, tylko z broni pierwszorzędnej jakości.

W porcie rybackim oczekiwał nas p. Iglody — przeglądnął rozkład, gratulował mi do żurawia, czaple i błotniaki (Circus aëruginesus) wyrzucił do jeziora, przy dubeltach wysłuchał mej relacji o obfitej dublecie, po czym oznaczył z reszty kaczkę żałobną (Oedemia nigra) jako rzadszy okaz. Mówił, że przygotował dla mnie wyborne stanowisko i tam sporządził budkę z sitowia. Miałem więc szanse ubić nazajutrz białą czaplę, prócz innego rozmaitego ptactwa, bo rotmistrz zapowiadał silne zloty i radził wziąć na tę wyprawę najmniej 50 ładunków.



W ten ostatni ranek mego pobytu na błotach rumuńskich tj. 22-go września wyjechałem barką z jednym tylko wioślarzem i w czas przed świtem doszedłem do budki, nawiasem mówiąc niepotrzebnej, bo równie źle stać mogłem pod krzakiem olchy. Mimo deski, którą wioślarz podsunął mi pod stopy, zapadałem się w błoto, klnąc, że wzgardziłem gumowymi butami, które jak zwykle spoczywały w łodzi.

Z brzaskiem dnia rozpoczął się ruch niezwykły. Co moment przeciągały kaczki, gęsi, kulony, dubelty, czaple siwe, bąki, wiele ich zapadało w pobliżu i znów się zrywało. Strzelałem jednak tylko do kaczek i to tylko wówczas, jeżeli nie mogłem oznaczyć ich w locie, by hukiem strzałów nie odstraszyć białej czapli.

Wreszcie zobaczyłem jedną... ciągnęła wprost na mnie spokojnie, na chwilę znikła na tle białych chmur i znów wypłynęła w lazur nieba, wolno wachlując skrzydłami. Stałem bez ruchu jak zaczarowany, pożerając ją wzrokiem... gdy mię mijała w szybkim zwrocie złożyłem się... lecz nie strzeliłem. Odległość była przecież i dla najlepszej broni zbyt znaczna. Śledziłem ją w locie tak długo, aż biel jej zlała się w jedno z błękitem. Zrodziła się na chwilę myśl: miałeś sposobność... dziś odjedziesz... czy tu jeszcze wrócisz?... ale żalu do siebie nie czułem.

Nieznaczną rekompenzatę uzyskałem, bo właśnie nadciągnął duży kulon stepowy (Numenius arquatus) z długim w łuk wygiętym dzióbem i strącony strzałem spadł mi wprost pod nogi.

Gdy ustały zloty, zjawił się wioślarz i przyaportował ubite ptactwo. Tylko jedna kaczka była niezwykła — jasno-popielata, wielkości krzyżówki. Rotmistrz widocznie jej nie znał, bo określił ją jedynie jako: „Durchzugsente“.

Wróciliśmy do łodzi przesuwającej się tuż przy szuwarach nieregularnie zarastających brzegi jeziora. W pewnej chwili otwarł mi się widok na bajurę skąpo porośniętą sitowiem. Na płytkiej wodzie jak posąg z alabastru stała przede mną biała czapla w odległości około 60-ciu kroków. Już się złożyłem i w chwili gdy skrzydła do lotu otwarła, strzeliłem.

Radość moja nie miała granic! Lecz gdy czaplę podniosłem, doznałem pewnego zawodu, była to bowiem biała czapla jedwabista (Ardea yarretia) co później p. Iglody potwierdził.

Szykowaliśmy się do odjazdu do Lunki. Rotmistrz kazał dozorcy owinąć czaplę starannie w papier... lecz jak jastrząb skoczył na niego, gdy zauważył, że do celu użył gazety. Pióra białych czapli są bowiem tak wrażliwe, że druk gazety momentalnie się ich czepia i już wywabić nie daje. Gdyby czapla miała przebyć drogę do Polski owinięta w gazetę, stałaby się zupełnie nieużyteczną do wypchania.

serca przed sobą jak na dłoni niosących, jest niestety coraz mniej na świecie.

— — — — — — — — — — —

Tu mógłbym zakończyć... gdybym nie wyczuwał żywotnych pytań Czytelników: jakże się tam dostać?... no... i ile to kosztuje?

Już poprzednio wspomniałem, że polowania te urządza: Organizatia nationale Romana de voiaj si turizm „Europa“, Bucuresti, strada Doamnei 1.[17])

Dla wygody myśliwych zakupiła „Europa“ wytworny jacht motorowy z kajutami dla 4-ech myśliwych, kuchnią i wszelkimi wygodami. Zaleta tego urządzenia polega na tym, że myśliwi nie tracą czasu, lecz w czasie snu i posiłków przebywają jachtem znaczne przestrzenie dzielące ich od kolonii rozmaitego ptactwa. Tylko w ten sposób można w ciągu kilku dni przyjść do strzału do łabędzi, pelikanów, białych czapli, żurawi a ponad to nastrzelać się do syta kaczek, gęsi, kormoranów, kulonów etc. Do



Na zwykłym wózku wracaliśmy do Lunki niezłą szosą, lecz żwawy ogierek tak wyrywał, że twarde siedzenie podrzucało nas co chwila w górę jak piłki. Toteż rotmistrz kazał zjechać na polną drogę, krótszą, wiodącą tuż nad jeziorem. Strzelby spoczywały w futerałach, gdy p. Iglody wskazał mi białą czaplę, żerującą przy brzegu w sitowiu przed nami w odległości około 300 kroków. Zdążyliśmy wydobyć, złożyć i nabić śrutówkę, ogier tym czasem zbliżył nas na odległość strzału, tak, że z wózka do stojącej strzeliłem. Diana lekko ją przyaportowała. Niestety — zanim ją doniosła, już poznałem, że to nie alba, lecz drugi egzemplarz yarretia.

W Lunce zaczęliśmy gruntowne pranie własnej skóry, gdy rozległ się warkot samochodu, a w chwilę po tym mój luby malec z okrzykiem: „Bonikul! pokaż coś ustrzelił“ rzucił mi się na szyję.

P. Iglody zrobił zdjęcie z rozkładu, nieszczególne, bo na ustawienie nie wiele mieliśmy czasu.

Lecz jeżeli widok mojej młodszej generacji na tym zdjęciu sprawi znajomym Czytelnikom przyjemność — to cel będzie spełniony, bo ludzi tak prostolinijnych, szczerych,

jachtu przymocowane są 4 łodzie (już wskutek moich niemiłych doświadczeń na wzór naszych sporządzone), które w różnych miejscach odbijają z pojedyńczym myśliwym codziennie o świcie i pod wieczór, a po każdorazowym polowaniu jacht zbiera myśliwych, posila i przewozi w inne miejsce. Każdy myśliwy otrzymuje dokumenty, uprawniające go do polowania i do odstrzału po jednej białej czapli, poza tym broń i dalszy ekwipunek, taki jak go mi dostarczono. Ubite ptaki przygotowuje codziennie do transportu fachowy preparator na pokładzie jachtu.

Wszystko to dla siedmiodniowego pobytu kosztuje 15.000 lei czyli około 450 zł od osoby wraz z kompletnym utrzymaniem i kosztami polowań.

Osobno płaci się tylko za naboje po 8 lei za sztukę, naturalnie jedynie za ilość zużytą.

Mnie kosztowała ta wycieczka dużo mniej, bo polowałem tylko dwa dni i bez jachtu, który stał na kotwicy w Gałaczu. Jeżeli zaś św. Hubert pozwoli mi wyjechać tam na przyszłą wiosnę, kiedy ptactwo jest w godowych barwach, to wycieczka moja będzie znów dlatego tańszą,

bo rumuńskie dokumenty myśliwskie, które posiadam ważne są na przeciąg jednego roku.

— — — — — — — — — — —

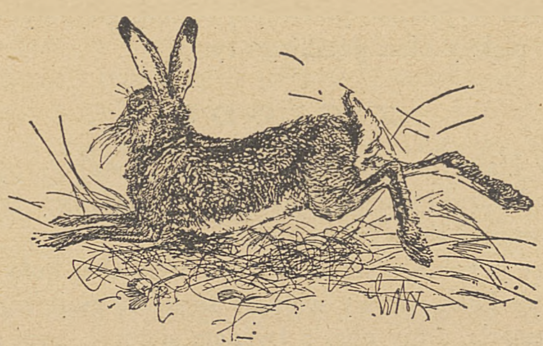
Oj! dostałem kuksa w bok!

— Bonikul! rzuć nudne pisanie — chodźmy z psami do ogrodu.

Stanisławów, w listopadzie 1936 r.

PRZYPISY:

[1]) bonicul = dziadek; [2]) Constanta = miasto portowe nad morzem Czarnym w Rumunii; [3]) camerista = pokojówka; [4]) dworzec portowy; [5]) Carmen Sylva = miejscowość klimatyczna 17 klm na południe od Konstancy nad morzem i jeziorem Techirghiol, przesyconym solą, siarką i jodem; [6]) sanatorium wojskowe; [7]) rybołostwo; [8]) polowanie; [9]) gospodarz; [10]) wóz; [11]) jaśnie pan; [12]) dobranoc; [13]) woda jest czarna; [14]) gęś: [15]) kaczka; [16]) to ty oszczędzasz naboje (aluzja do dwu ptaków na jeden strzał); [17]) Narodowa organizacja rumuńska dla podróży i turystyki „Europa" Bukareszt, ulica Pańska Nr. 1.



PAWEŁ WIKTOR

Z rykowiska

Korzystając z zaproszenia Stanisława hr. Potockiego, znalazłem się z nim oraz z hr. Karolem Brzozowskim dnia 20 września na wagoniku kolejki wąsko torowej, dowożącej drzewo z lasów Duszatyna i Mikowa do Rzepedzi, który na skutek wiadomości, że jelenie już dobrze ryczą, miał nas zawieść do leśniczówki w Duszatynie. W podróży tej towarzyszyły nam żona Gospodarza, oraz p. Brzozowska z córką.

Wagonik ciągnięty przez konia przebył w godzinę malowniczą drogę, prowadzącą doliną rzeki Osławy, wśród gór porośniętych lasami. Śliczne widoki urozmaicały barwne stroje powracających z cerkwi Łemków.

Rewiry Duszatyn i Mików o obszarze ponad 4000 mg, leżą w dorzeczu górnej Osławy z najwyższym szczytem Hryszczate 990 m n. p. m., granicząc z lasami Kalnicy, Rabego, Woli michowej, Smolnika i Turzańska.

W leśniczówce ustalił Gospodarz, że do wtorku południa będziemy polowali w lasach Duszatyna, a potem przeniesiemy się do koliby w Mikowie.

Zaraz po południu wyruszaliśmy, każdy do swego rewiru, by w pełni wykorzystać czas, jaki na tych królewskich łowach spędzić będziemy mogli. Pogoda dopisywała cudownie, błękitne niebo i słońce podnosiły jeszcze urok i tak cudownych gór. Jelenie ryczały świetnie — doliczyłem się 18 byków ryczących, codziennie rano i wieczór miałem bardzo zajmujące podchody, gdyż zawsze podchodziłem ryczące byki, przeważnie do nich dochodziłem i mogłem podziwiać tego wspaniałego zwierza w czasie ryczenia. 22-go rano podszedłem trzy ryczące jelenie przy 8 łaniach i zabiłem dobrego 14-taka. Tego samego ranka p. Brzozowski zabija bardzo dobrego 16-ka. Po obiedzie marsz do koliby w lasach Mikowa — całą drogę urozmaicał nam ryk jeleni i pieśń ich godowa ukołysała nas do snu, a gdy w nocy śniłem o łowach i przebudzałem się, słyszałem w pobliżu koliby ryk kilku byków i one obudziły mnie znowu rano do dalszych podchodów. Tego ranka podszedłem bardzo ładnego 10-taka wstecznika, ale po zabiciu już poprzednio 14-taka, powiedziałem sobie, że strzelę chyba wyjątkowo dobrego byka. Powściągliwość moja została wynagrodzona, bo po południu usłyszałem basowy ryk, podszedłem i strzeliłem 16-taka o kapitalnym czarnym wieńcu, wagi 9 kg.

Następnego dnia rano wracałem do leśniczówki w Duszatynie, by powrócić znów do prozy życia codziennego, a jelenie jakby żegnały mnię swą pieśnią godową, nęcąc obietnicami na rok przyszły.

22-go przyjechał do Duszatyna Ks. Roman Czartoryski z Konarzewa i ubił bardzo pięknego 16-taka, zaś 24-go Ks. Jerzy Lubomirski z Rozwadowa i ubił ładnego 16-ka i 8-maka. Karol hr. Brzozowski ubił jeszcze po moim wyjeździe dobrego 12-aka, tak, że ogólny rozkład od 20 do 29 września wyniósł cztery 16-taki, z czego jeden kapitalny, dwa bardzo dobre, jeden dobry, jeden dobry 12-tak



16-tak ubity przez p. Pawła Wiktora.

i 1 8-mak, wszystkie po jednej kuli — chybionych nie było. Mam wrażenie że rozkład ten będzie rekordem dla jednego tej wielkości rewiru. Do czego można odpowiednią opieką doprowadzić, świadczy ta piękna knieja, gdzie wedle naszych obliczeń jest około 40 byków i około 150 łań, a oprócz tego dużo dzików, dość sarn i przechodnie wilki. W tym roku zaczęły tam jelenie ryczeć 8-go, a od 13-go ryczały bardzo silnie do końca.

Dnia 4 października zjechaliśmy się wraz ze zdobytymi trofeami u pp. Stanisławów hr. Potockich w Rymanowie gdzie po odfotografowaniu wieńców, spędziliśmy kilka godzin na miłej pogawędce o przeżytych wrażeniach.

Chciałbym w tym miejscu podziękować kochanemu Gospodarzowi za te piękne trofea i za tą ilość pięknych chwil jakie dzięki niemu danem mi było w tym roku przeżyć w górach. Ta piękna knieja w której stan jeleni z roku na rok pod zapobiegliwym i bacznym okiem Gospodarza stale się poprawia i wzrasta, wyposażona hojnie przez naturę musi u każdego, komu danem było kilka dni w niej spędzić, pozostawić nie zatarte wspomnienia. Mogę tu tylko wyrazić życzenie, aby jej rozwój szedł dalej tym krokiem co dotychczas, a mnie żeby było danem nadal go śledzić.



ST. W. ORSKI

Z życia rysi

WALKA.

„Co masz we worku? zapytuje lustrator lasów wyrostka, czekającego nań w kancelarii Zarządu.

„Ubiłem kamieniem wielkiego lisa i chcę, żebyście zapłacili za niego premię“.

Czy ty zdurniał? Nie masz fuzji a ubiłeś kamieniem lisa?

Ja Wam opowiem, jak to było:

„Leżę ja sobie wczoraj przed zachodem słońca w potoku Zełemiance, u brzegu łąki tak, że mi tylko głowa nad brzeg rzeki wystaje i... dumam... aż tu na dobry kamień ode mnie wyślizgnął się z lasu na łąkę mały lis i ugania za myszami.

Złapie mysz... podnosi ją w górę, bawi się, albo znów parpie, wącha, przekręci głowę w bok, skoczy w górę a wnet pod łapą ma znowu mysz.

Kiedy on się tak bawi i ugania za myszami, nagle wysuwa się z lasu drugi, ale grubszy i większy lis... spostrzegłszy małego, przysiadł do ziemi i jak gadzina czołga się do małego lisa, który go nie widzi.

Przypełznął z tyłu... raptem skoczy, wpada na małego, przewraca go i zaczynają się gryźć...

Mały leży, a wielki dusi go, a tak się żrą, że nawet szumu wody nie słychać od tego charkotu.

Wtedy ja za kamień i biegiem do nich. Wielki trzyma małego pod sobą, a mały wgryzł się wielkiemu w gardło.

A wtedy ja z tyłu wielkiego po głowie kamieniem, a jak zamachnąłem się, to tak kantem uderzyłem, że aż mózg trysnął w górę. Wielki, już nieżywy, puścił małego, a ten tylko podskoczył i hajda do lasu...

A teraz to ja przyniosłem tego wielkiego lisa, ażebyście zapłacili mi premię.“

Wyciąga lisa, a lustrator śmiejąc się pyta: „To ty nawet nie wiesz, co za biedę ubiłeś?“

„Ta... czomu nie... takoho wełykoho łysa!“.

„Gdzie to lis, to inna zwirka, nazywa się ryś, który ciebie i lisa mógł razem zadusić!“

Patrzy się chłopak to na lustratora, to na „wełykoho łysa“, kiwa z niedowierzaniem głową, jakby z niego żartowano, wnet jednak beztroskliwie rozpogodził lica, gdy mu za tego lisa wypłacono podwójną premię, gdyż był to wyjątkowo piękny okaz górskiego rysia.

Z GŁODU.

A wy Hawryło, jak złapaliście tego rysia? — pyta zarządca z Różanki starego bojka, który odniósłszy zabitego rysia, domagał się wypłaty premii.

„Siedzę ja sobie wieczorem panie Verwalter koło chaty, a mój syn Iwan... ta wy wiecie Pańciu, że moja żona niedawno zmarła, a my obaj z Iwanem sieroty... sami na gospodarstwie — rąbał drzewo w stodole.

Kiedy tak siedzę i dumam pod chatą, pies nasz Kruczek z podciągniętym ogonem pędem ucieka z drogi do chaty, a za nim... pies... nie pies... kot... nie kot — jakaś żółta bieda szmyrgnęła i wsuwa się przez drzwi do chaty.

Zląkłem się i krzyczę:

Iwane! Iwane!

Ha? — odpowiada Iwan...

Chodź prędko do chaty! a weź ze sobą żelazne widły — bo jakaś zwirka jest w chacie.

Wbiegamy obaj z widłami... patrzymy się i szukamy — a tu na tej żerdce na bieliznę, pod samą ścianą siedzi żółka zwirka, głowę ma jak kot, bardzo wielką, a na uszach „maje czorne chwostyki“.

Rozdziawił pysk... parska i mruczy...

Iwan zamachnął się, przycisnął głowę do ściany widłami i unieruchomił go.

Wtedy ja podtrzymałem widły, a Iwan wziął silny motuz, wlazł na piec, związał łapy, głowę obwiązał szmatą, a tylko na pysk pozostawił mały otwór.

Chciałem żywego wam przynieść Pańciu, byście więcej zapłacili.

Związanego rzuciliśmy pod piecem, a sami położyliśmy się spać.

Budzę ja się w nocy, a ta bieda tak charczy i mruczy, łomoce się pod piecem, że aż mróz idzie po krzyżach...

Przestraszony wołam: Iwane! Iwane!

Ha? odpowiada Iwan..., wstał... zapalił lampę... patrzymy... a tu kotłuje się pod piecem..., hopka w górę..., parska i tak ponury wydaje wrzask, że aż strach bierze, by

się nie odwiązała... Z głowy szmata spadła na szyję — jedna łapa podciągnięta w górę... jeszcze parę rzutów a przednia łapa byłaby wolna.

Iwan widłami przytrzymał, a kiedy łapy ściągnął powiadam: Znajesz szczo Iwane? Ha? pyta Iwan... może lepiej będzie zabić biedę, bo jak się odwiąże, to nas obu podusi.

Naradziliśmy się... Iwan wziął nóż i przebił żółtego zwierza... Ot macie Pańciu! tutaj znak z noża“...

* * *

Oba o powiadania bieszczadzkich bojków w Skolszczyźnie, z Hrebenowa i Różanki, opierają się na autentycznych zdarzeniach z niedawnych lat wojennych i dotyczą życia i zachowania się rysi.

Jednego z tych rysi, przepięknie spreparowanego i wypchanego, podziwiano ogólnie na tegorocznej wystawie. Pojechał on wraz z czarnym wilkiem do Warszawy, gdyż oba te okazy górskiej fauny ofiarował właściciel Br. Ryszard Groedel Muzeum rolniczo-przemysłowemu w Warszawie, gdzie wzbogacą zbiory, zgrupowane na Krakowskim Przedmieściu pod. L. 66.

Ryś — jedyny dzisiaj przedstawiciel wielkiej rodziny krwiożerczych i drapieżnych felidów (Lynx-Lynx), obok mniejszych i bardziej pospolitych żbików — w środkowej Europie — przypominający swym centkowanym futrem egzotyczne okazy lampartów lub panter, ostał się jako szczątkowy okaz dawnej fauny europejskiej tylko w górskich ostępach Karpat i nizinnych puszczach wileńskich i poleskich.

Skaliste urwiska, kamieniste wyrwy potoków, dziupła i wywroty dziewiczych lasów wśród wichrów górskich i w puszczach nizinnych, dają mu bezpieczne i pewne schroniska.

Chociaż rysica raz do roku rzuca najczęściej dwoje, znacznie rzadziej troje młodych — ród rysi nie wygasa, utrzymuje się na zwykłym poziomie rozmnoży.

W górach rzadko kiedy stanowi zdobycz łowną, wpada natomiast dość często w żelaza, zastawione na wilki.

Z natury ogromnie ostrożny i przezorny zejść się nie da; zwinny, w ruchach gibki, o stalowych mięśniach i ścięgnach, za przykładem egzotycznej rodziny felidów spada jak piorun na zwierzynę czerwoną, zające, lisy, koty, psy, młode dziki, ptactwo, zwłaszcza głuszce w czasie toków.

Jako ostrowidz, wypatrzy z daleka z rozwidleń drzew wszelką zdobycz. Gdyby u rysia nie zawiódł węch, byłby najniebezpieczniejszym drapieżnym stworzeniem.

Z egzotycznymi felidami łączy go jeszcze jeden rys wspólny — jest bezgranicznie zuchwały, a w pościgu za upatrzoną zwierzyną wpadnie nieraz i do zabudowań i do siedzib ludzkich.

Przed kilku laty wpadł za kotem w Wełdzirzu do pokoju, gdzie go ubito.

Zuchwałość i zachłanność na żer są tak wybujałe, że w danej chwili zatraca znaną swoją ostrożność i samozachowawczy instynkt i wpadnie, gdy jest głodny — łatwo w każdą pułapkę, żelaza nawet klatkę.

Liczne tropy sunących chyłkiem i cichcem zimową porą na łowy tych drapieżców wśród górskich wirchów świadczą wymownie o tym, że ród ich na razie przynajmniej, u nas nie jest zagrożony wymarciem, ale utrzymuje się na zwykłym poziomie rozmnoży, której górska dżungla ze swymi kryjówkami, wywrotami, uroczyskami i wyrwami ogromnie sprzyja.

W czasie wystawy mieliśmy wspaniałe okazy z gór i nizinnych puszcz, a każdy interesujący się żywą przyrodą na pierwszy rzut oka mógł uchwycić znaczną różnicę, jaka rzuca się w oko w ubarwieniu, a nawet i budowie górskich rysi w odróżnieniu od nizinnych.

Górski, nieco mniejszy, bardziej budową zwarty, jakby przystosowaną do górskich chodów — zatrzymał w ubarwieniu czarnobrązowe centki wielkości fasoli, aż do kurzego jaja na płowo szarej sierści, które to ubarwienie zbliża go bardziej do egzotycznej szaty, zwłaszcza do nieco jaśniejszych rysi polarnych (Lynx canadensis).

W ubarwieniu rysi puszczańskich, które w budowie są nieco dłuższe, centki zatracają się, sierść ich jest rudoszara z nalotem bardzo niktych (nieraz wielkości grochu) słabo dostrzegalnych, ciemniejszych (czarno-brązowych) smug i plamek.

Przypuszczać należy, że ta nieco odmienna szata zawdzięcza swe ubarwienie t. zw. „mimicri“, t. j. przystosowaniu się barwy do otoczenia przyrody.

Dr. STANISŁAW hr. TYSZKIEWICZ

Uzbroić straż łowiecką w Polsce

W Nrze 8 „Łowca“ z dnia 1 sierpnia 1936 r., p. gen. Walery Maryański porusza w doskonałym artykule p. t. „Strażnik łowiecki w Polsce“, konieczność ochrony życia tych strażników przed kłusownikami i zwolnienie w tym celu strażników od przymusu karty łowieckiej oraz karty na broń.

Obowiązujące obecnie Rozp. Prez. Rz. o prawie łowieckim z dnia 3 grudnia 1927 Dz. U. 110 poz. 934, zna wprawdzie strażników łowieckich i nakłada na nich obowiązek czuwania nad przestrzeganiem przepisów rozporządzenia (art. 23 i 24) ale nie zaopatrzyło, czy też zapomniało lub nie chciało zaopatrzyć tegoż strażnika w możność noszenia broni i czynienia z niej użytku, gdyż zaraz w tymże art. 24-ym czytamy: „Strażnik łowiecki pełniąc służbę, m o ż e legitymować osoby polujące, odbierać broń i zwierzynę, zatrzymywać i odstawiać do właściwej władzy osoby podejrzane itd. To słowo m o ż e powinno w rozporządzeniu brzmieć p o w i n i e n.

Ale jak strażnik łowiecki m o ż e t ę p o w i n n o ś ć spełniać, gdy ma tylko możność dostania „kulą w łeb“ od kłusownika, którego m o ż e wylegitymować i odebrać mu broń, będąc sam bezbronnym.

Rozporządzenie z r. 1927 zniosło na terenie Małopolski ustawę krajową łowiecką z r. 1909, która w § 42 zezwalała zaprzysiężonej straży łowieckiej na noszenie w służbie broni myśliwskiej i wzmacniała jeszcze stanowisko tej straży przez to, że jeżeli nosiła przepisane odznaki, uważana była jako straż publiczna, w myśl ustawy państwowej z 16 czerwca 1872. W tym celu w myśl § 81 ust. łow.

z r. 1909 wydawane były przez Starostwa certyfikaty strażnikom łowieckim bez opłaty taksy (§ 83) na czas służby danego strażnika łowieckiego.

Dziś natomiast strażnik łowiecki musi wykupywać kartę na broń oraz kartę łowiecką i moim zdaniem starostwa słusznie żądają posiadania przez strażnika wyżej wymienionych kart, bo tak każe ustawa.

Rozp. Prez. Rz. z dnia 27 października 1932 o prawie o broni, amunicji i materiałach wybuchowych w art. 21 p. b. mówi, że „osoby, które z tytułu swej służby publicznej lub swego charakteru służbowego i zgodnie z właściwymi przepisami prawnymi uprawnione są do posiadania i noszenia określonego rodzaju broni, nie potrzebują pozwolenia władzy" (art. 18 ust. 1). Niestety to postanowienie nie ma zastosowania dla straży łowieckiej, gdyż żaden prawny przepis dotychczas nie przyznał tejże straży charakteru służby publicznej lub charakteru służbowego, jak to czyniła krajowa galicyjska ustawa łowiecka z r. 1909 w § 42 i ustawa państwowa z r. 1872.

W „Aktualnych wiadomościach leśniczych" Nr. 21 z dnia 1 listopada1936, pisze inż. Kociołek Leon w artykuliku p. t. „Uzbrojenie straży leśnej (gajowych), że Województwo krakowskie pismem L. S. P. B. VIII/6/36 z 3 września 1936 wyjaśniło wszystkim podwładnym swym organom, że osoby, które jako służba dla ochrony lasów złożyły przysięgę i są uważane za straż publiczną, mogą nosić broń zwykłą. Za broń zwykłą rozumieć należy „dubeltówkę". Województwo krakowskie opiera się w tym wypadku na Rozp. Pr. Rz. z dnia 27 października 1932, a w szczególności na art. 18, 19 i 21 p. b. tegoż rozporządzenia, o którym wyżej wspomniałem.

Jeżeli zaglądniemy teraz do Rozp. Pr. Rz. z dnia 24 czerwca 1927 o ochronie lasów niestanowiących własności Państwa (Dz. U. 111 ex 1932 poz. 932) to widzimy w art. 59, że utrzymanymi zostały w mocy § 52 i 53 ustawy lasowej z dnia 3 grudnia 1852 (Dz. u. p. austr. Nr. 250), obowiązujący w dalszym ciągu na terenie b. zaboru austriackiego, § 52 tejże ustawy mówi, że dla ochrony i dozoru lasów należy ustanowić odpowiednią straż i jeżeli to są lasy prywatne, należy na żądanie właścicieli zaprzysiąc straż przed władzą publiczną. § 53 zaś mówi, że osoby, które do ochrony lasów złożyły przysięgę według § 52 uznaje w służbie leśnej za straż publiczną, używającą w tym względzie wszystkich praw, opartych na ustawach, służących osobom urzędowym i strażom cywilnym i mogącą w służbie nosić broń zwykłą.

Przepisy te jak widzimy, tyczą się straży leśnej (gajowych, borowych), polowej, rybackiej itp. W praktyce pojęcie straży leśnej a łowieckiej pokrywa się, gdyż ten sam człowiek pełni obie funkcje. Według ustawodawstwa obecnie obowiązującego, mamy tu do czynienia z kapitalnym absurdem, niedociągnięciem i nieprzemyśleniem w które obfituje niestety niejedna nasza ustawa.

Bo proszę się tylko zastanowić. Gajowy n. p. Grzegorz Bąk obchodzi las z bronią jako strażnik leśny, może z tej broni zrobić użytek w wypadku kradzieży lub innego przestępstwa z ustawy lasowej. Lecz gdy w czasie tegoż obchodu spotka kłusownika, lub psa, kota, jastrzębia itp., to momentalnie zmienia ten Grzegorz jak kameleon skórę i już nie jest strażnikiem leśnym, tylko łowieckim i już nie ma prawa użyć broni wiszącej na ramieniu. Gdyż jako strażnik leśny jest Grzegorz Bąk zaprzysiężonym strażnikiem publicznym, urzędowym, nietykalnym, uzbrojonym; jako strażnik łowiecki zaś, spotkawszy kłusownika, powinien precz od siebie odrzucić strzelbę, by broń Boże nie wystrzelić i jeśli mu życie miłe, dać nura w krzaki i zwiewać, jak prędko się da.

Należy więc dla samej powagi naszego prawodawstwa co prędzej usunąć tę anomalię i wydać objaśnienie, że służbie strażniczej ustanowionej dla ochrony poszczególnych rodzajów gospodarstwa i kultury krajowej należy nadać stanowisko urzędowe, o charakterze straży publicznej. Charakteru tego nabierają strażnicy przez zaprzysiężenie ich przez władze do tego powołane.

Jako rodzaje gospodarstwa i kultury krajowej należy uznać gospodarstwa, rolne, leśne, górnictwo, polowania, rybołostwa i inne uprawnienia wodne, o których mówi państw. ustawa austr. z 16 czerwca 1872.

Sądzę, że to objaśnienie, które powinno się co prędzej ukazać, przyniesie korzyści nie tylko zainteresowanym w utrzymaniu wysokiej kultury kraju, a więc przedewszystkiem Państwu, ale co ważniejsze ukróci kłusownictwo i inne przestępstwa, zabierające rok rocznie tyle istnień ludzkich z grona strażników pełniących odpowiedzialną, a tak ciężką służbę zawodową.

Sądzę też, że jedno życie ludzkie więcej jest warte, niż suchy przepis nieprzemyślanej ustawy.

Fauna słodkowodna Polski

Pod powyższym tytułem, a pod redakcją Dr. T. Jaczewskiego i Dra T. Wolskiego, kustoszy w Państwowym Muzeum Zoologicznym i przy współpracy najwybitniejszych przyrodników polskich, podjęto pracę systematycznego opisania wszystkich zwierząt, występujących w naszych rzekach, jeziorach i stawach.

Wydawnictwo to wychodzi zeszytami w 16-ach, a zdobią je liczne ryciny, przedstawiające opisywane zwierzęta lub ich narządy. Jakkolwiek te ryciny nie kuszą się o nadanie dziełu takiego przepychu, jaki spotykamy w podobnych wydawnictwach zagranicznych, to jednak przez swą dokładność graficzną doskonale spełniają zadanie lepszego objaśnienia tekstu.

Zeszyt drugi tego wydawnictwa, stron 72, traktujący o ssakach (Mammalia) opracował Dr. Roman Kuntze, docent Politechniki lwowskiej.

Do ssaków słodkowodnych zaliczył Dr Kuntze siedm gatunków, a to: Rzęsorka rzeczka (Neomys fodiens), Rzęsorka mniejszego (Neomys soricioides), Łasicę nurkę (Mustela lutreola) Wydrę (Lutra lutra), Bobra (Castor fiber), Karczownika ziemnowodnego (Arvicola terrestris) i Piżmaka amer. (Fiber zibethicus). Każdy z tych gatunków opisał Dr. Kuntze bardzo dokładnie, ustalając jego stanowisko systematyczne i jego zróżnicowanie podgatunkowe i podając jego morfologię, biologię, rozsiedlenie geograficzne i stosunek do człowieka, a jakkolwiek autor nie opuścił nigdzie stanowiska ściśle naukowego, to jednak umiał on swój wykład uczynić zajmującym nawet dla czytelnika naukowo mniej przygotowanego.

Trzymając się wywodów Dr. Kuntzego, należy wyjaśnić dlaczego nauka do rodzimych ziemnowodnych, a raczej

ściśle mówiąc do słodkowodnych zalicza tylko siedm wyżej wymienionych gatunków ssaków.

Nie można mianowicie w sprawie tego zaliczenia wysnuwać jakichkolwiek wniosków z faktu, że jakieś zwierzę pływa. — Prawie wszystkie zwierzęta ssące pływają. Niektóre czynią to tylko w ostatniej potrzebie i mniej udolnie jak np. zając, kret, kozica, inne jak pies lub niedźwiedź, czynią to znakomicie, a niektóre jak n. p. łoś, nawet bardzo chętnie Mimo to żadnego z tych zwierząt do ziemnowodnych nie zaliczamy, bo na takie miano zasługują sobie dopiero te gatunki zwierząt, które uczyniły wodę ośrodkiem swego życia, szukając w niej stale lub przeważnie swego pożywienia, a często dogodnego schronienia przed drapieżnikami lądowymi. U zwierząt tych występują też cechy morfologiczne usposabiające je mniej więcej do życia we wodzie. Otóż właśnie wszystkie wyżej wymienione gatunki, a u nas tylko one, wykazują te charakterystyczne cechy biologiczne i morfologiczne, na podstawie, których można je zaliczyć do słodkowodnych.

Myśliwego obchodzą oczywiście mało oba gatunki rzęsorków i karczownik ziemnowodny. Są to zwierzęta małe, do łownych nie zaliczone. Nie duży też interes przedstawia dla niego łasica nurka, którą powtarzające się corocznie rozporządzenia ochronne Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych nazywają łasicą norką. Łasica ta występuje u nas nielicznie i jak stwierdza Dr Kuntze, tylko w niektórych okolicach Państwa. Prowadzi ona zresztą żywot bardzo skryty i dlatego staje się rzadko łupem myśliwego, a to tym bardziej, że chronioną jest przez 11 miesięcy i tylko w styczniu może być ubijaną.

Licznie wprawdzie występuje u nas jeszcze wydra, która wobec tego i swej rzekomej wielkiej szkodliwości dla rybactwa dotąd ani samą ustawą łowiecką, ani rozporząniami ministerialnymi chronioną nie jest, a jednak i ona dość rzadko pada od strzału uprawnionego do polowania myśliwego, bo podobnie jak łasica nurka prowadzi żywot skryty. Częściej staje się ona łupem kłusownika, cierpliwie na nią na mrozie przez wiele nocy z rzędu czatującego, a najczęściej łapi się w samotrzaski, w które po myśli art. 41 i 50 prawa łowieckiego zawsze jeszcze niestety chwytaną być może. Dr. Kuntze podnosi słusznie, że szkodliwość jej dla rybactwa jest znacznie przesadzoną, gdyż chwyta ona przeważnie ryby chore, a wskutek tego wolniej pływające, przez co spełnia znakomicie zadanie policji sanitarnej w naszych stawach i rzekach.

Ze wszystkich przez Dra Kuntzego opisanych gatunków najmniej licznie występuje u nas bóbr. Sposób jego życia w stałych żeremiach umożliwia porachowanie go na naszych ziemiach prawie do ostatniej sztuki. — Bobrów ma być u nas tylko około 250 sztuk, a co smutniejsze, że rozmnoża tego zwierzęcia postępuje tak powoli, jakby była w zupełnym zastoju. Z powodu tej swej małej liczebności, doznają bobry u nas zupełnej całorocznej ochrony, a art. 78 ust. łowieckiej, grozi grzywną do 2.500 zł, oraz aresztem do sześciu miesięcy za polowanie na bobra. — Nadto art. 51 tego prawa, który pod literą c) nadaje Ministrowi rolnictwa uprawnienie zezwalania na odstrzał zwierząt chronionych zupełnie artykułem 48, czyni wyjątek co do bobrów, na które, tak samo jak na żubry, zezwolenie odstrzału nigdy danem być nie może. — Takie jest stanowisko ustawy, a natomiast nie mogę się zgodzić z twierdzeniem Dra Kuntzego, iż ustawa czyni też zastrzeżenia, że i późniejsze nowele nie mogą tego postanowienia zmienić. Takiego zastrzeżenia ustawa nie zawiera i zawierać nie może, bo każdy akt legislacyjny może być zmieniony późniejszym aktem legislacyjnym, w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Mimo wszystko rozmnoża bobra jest możliwą, bo zatem przemawia fakt przytoczony przez Dr. Kuntzego, iż w południowej Norwegii z 60 sztuk, pozostałych w 1880 r., dochowano się obecnie 14.000 sztuk i zezwolono już nawet na umiarkowany odstrzał.

Autor omawia dokładnie sprawę piżmaka amerykańskiego, którego w r. 1905 zaaklimatyzował hr. Mansfeld Colloredo w swych dobrach Dobric na południu od Pragi. Z kilku sztuk sprowadzonych przez hr. Colleredo, rozmnożyło się do obecnych czasów kilka lub kilkanaście milionów, bo jak pisze Dr. Kuntze produkcję skórek ze sztuk ubitych lub złowionych w Europie, oceniono już w r. 1928 na 300.000. Piżmaki rozchodzą się ekscentrycznie we wszystkich kierunkach od swego pierwotnego osiedla, a że przed kilku laty wkroczyły już także w granicę naszego Państwa, muszą być zaliczone do fauny krajowej.

Stwierdzono, że szybkość odśrodkowego przenoszenia się piżmaków wynosi około 12 km w ciągu roku. Sprawa rozmnoży tych gryzoniów, może się stać nader ciekawą wtedy, gdy one dotrą do naszych kresów na Wołyniu i na Polesiu, których rozlewiska dadzą im warunki bardzo podobne do tych, jakie ich pobratymce mają we wielu okolicach Ameryki północnej, a mianowicie na licznych jeziorach Kanady.

Ze względu na wielką szkodliwość piżmaków dla różnych budowli wodnych lub nad wodami zaprowadzonych, zajęło nasze ustawodawstwo wobec nich stanowisko negatywne, grożąc karami za wszelkie czynności, mogące się przyczynić do ich rozmnoży na wolności, a dozwalając ich hodowlę tylko w klatkach i zamknięciach uniemożliwiających wydostanie się sztuk hodowanych na zewnątrz. Do zwierząt łownych, ustawodawstwo nasze piżmaka dotąd nie zaliczało, będzie jednak, zdaje się niezadługo zmuszone siłą faktu to uczynić, choćby ze względu na szkodliwość tego zwierzęcia, przyczem jednak należy podnieść, że ta szkodliwość będzie choć częściowo wyrównana cennością skórek tego zwierzęcia. Szerzona bowiem przed kilku laty wersja, jakoby skórki piżmaków urodzonych w Europie były nie wiele warte, okazała się nie prawdziwą, bo lepsze, dobrane skórki zwierząt bitych w zimie, mają nie ustępować amerykańskim.

Jeżeli się zważy, że sprawa zaliczenia bobra i piżmaka do zwierząt łownych jest dopiero piosenką przyszłości i jeżeli się przypomni to, co o łowności wydry i nurki powiedziano, to należy dojść do wniosku, że nasze zwierzęta słodkowodne ssące przedstawiają nie wielkie zainteresowanie ze stanowiska myśliwskiego. Mimo to broszurę Dra Kuntzego myśliwi polscy powinni przeczytać, a kolekcjonujący książki z dziedziny łowiectwa mieć ją w swej bibliotece, gdyż w każdym myśliwym powinno tkwić zainteresowanie się i ogólniejszymi sprawami przyrody, z którą z natury rzeczy więcej niż kto inny stykać się musi.

Zmierzam do końca może i tak zbyt długiej recenzji. Nie mogę się jednak wstrzymać od apelu do wydawnictwa

względnie do przyrodników, którzy się podjęli opracowania poszczególnych działów „Fauny słodkowodnej“. Działów pracy jest przewidzianych 37, a dotąd po kilkunastu miesiącach okazało się dopiero dwa, więc gdyby praca miała iść nadal w tym tempie, całość tego ze wszech miar pożytecznego dzieła wyszłaby dopiero za jakich lat piętnaście. Dla nas myśliwych byłoby nader pożądanem rychłe okazanie się opracowania działu ptaków. Wszak żyje ich na naszych rzekach, stawach i bagnach tyle gatunków, a tu jest rzeczywiście jeszcze wiele nieporozumień i niepewności w sprawach nomenklatury, stanowisk gatunkowych, podgatunkowych itp. Byłoby też wskazanym, o ile to jest wogóle możliwem, by wizerunki przynajmniej niektórych ptaków były kolorowane, gdyż w tym dziale właśnie najlepszy opis nie może zastąpić barwnego przedstawienia np. tej lub innej dzikiej kaczki.

A. Sander

† Ś. p. JÓZEF WAGNER

członek M. T. Ł. inspektor szkolny, zmarł dnia 21 listopada 1936 w Monasterzyskach.

Cześć Jego pamięci.

Korespondencje

Dnia 19 listopada 1936 r. odbyło się polowanie w Stronibabach P. Józefa Obertyńskiego, powiat Złoczów. — W polowaniu wzięli udział: Pp. Ludomir Cieński, Kazimierz Godlewski, Leon Krzeczunowicz, Andrzej Skrzyński, Dr. Szajnberg, Jerzy hr. Wodzicki oraz Józef i Stanisław Obertyński. Wzięto 13 leśnych miotów przy niesprzyjającej aurze — do 1[9], pochmurno, później deszcz aż do wieczora. Na rozkładzie: 6 lisów, 1 jastrząb-gołębiarz, 67 bażantów kogutów i 137 zajęcy!

Ten zupełnie wyjątkowy, przepiękny rozkład mówi sam za siebie. Bażanty w Stronibabach hodowane na dziko, otoczone troskliwą, umiejętną i pod każdym względem przemyślaną opieką Gospodarzy, znanych i zamiłowanych myśliwych-hodowców, trzymają się głównie w 2 dużych rewirach, z których jedna w czystem polu, druga przytyka jedną stroną do lasu przeważnie liściastego, około 300 morgowego, który ma tę zaletę, że nie łączy się z żadnym obcym kompleksem. W tych dwóch miotach bażancich padło około 50 kogutów, bażanty zrywały bukietami, nawet do 20 naraz, a że wszyscy myśliwi za wyjątkiem p. Krzeczunowicza, który też miał na rozkładzie najwięcej, gdyż razem 44 sztuk (2 lisy, 31 zajęcy, 11 kogutów) strzelali z 1 strzelby, bardzo wielu bażantom darowano, choć nie z woli a z musu życie; — rozkład 150 kogutów byłby lekko do osiągnięcia. Troskliwa opieka nad tym ślicznym łowiskiem, składa się z 2 zasadniczych i ważnych zadań, tępienie bezlitosne szkodników i zakładanie odpowiedniej i sutej karmy w tychże dwu rewirach. — W tym roku ubito już około 60 jastrzębi, przeważnie przy puhaczu i strzelono lub ubito 18 lisów!

Prawie w każdym miocie widziano sarny.

Polowanie prowadzili osobiście obaj pp. Obertyńscy, zupełnie wzorowo — nagonka około 100 chłopa pod wodzą dwóch konnych gajowych, szła niebywale sprawnie — a gdy doda się, jako przemiłe zakończenie staropolską serdeczną gościnność w staroszlacheckim dworze p. Marii Obertyńskiej — ma się nieudolny obraz tego jedynego w Małopolsce Wschodniej ślicznego polowania.

Stronibabom Darz Bór!

Dnia 7 listopada, polowano w Batiatyczach A. Papary pow. Kamionecki w lesie w 6 strzelb. — Na rozkładzie 1 lis i 27 zajęcy. — Polowanie prowadził sprawnie właściciel. Pogoda idealna.

K. G.

JUBILEUSZ ORAZ WYSTAWA ŁOWIECKA WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH

W związku z 30-letnią rocznicą założenia Związku (3 listopada 1906) otwartą zostanie w Poznaniu w dniu 24 stycznia b. r. Wystawa trofeów łowieckich, zdobytych przez Wielkopolskich Myśliwych na obszarze całej Polski. Również wystawione będą dzieła sztuki łowieckiej.

Z okazji jubileuszu ukaże się też 100 stronnicowa jednodniówka p. t. ECHA POLSKICH ŁOWISK.

Sprawy Towarzystwa

Zalegające sprawozdania z kilku posiedzeń Wydziału, będą umieszczone w skrótach w najbliższym numerze.

SPROSTOWANIE

Zamieszczony w numerze 12 „Łowca“ na stronie 219 protokół obrad Wydziału M. T. Ł. z 20 sierpnia 1936 r. prostuje się względnie uzupełnia w tym sensie, że w konferencji z p. Wojewodą tarnopolskim wziął był udział Dr. A. Sander tylko obok generała Walerego Maryańskiego, członka Wydziału i seniora delegatów powiatu złoczowskiego, z tych właśnie tytułów Wydział Towarzystwa zastępującego.

WPROWADZENIE NOWEGO GATUNKU ZWIERZĄT ŁOWNYCH I ZMIANA W ROZPORZĄDZENIU O TERMINACH OCHRONNYCH

Rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 10 grudnia 1936, Nr. 91, poz. 638, uznało muflony za zwierzęta łowne.

Rozporządzenie z tej samej daty, zamieszczone pod poz. 639 Dz. U. R. P. zabroniło w zupełności polowania na muflony, a także na niedźwiedzie.

—o—

Wobec zacytowanego ostatnio rozporządzenia, należy „skreślić“ w kalendarzu myśliwskim, jaki zamieściliśmy w numerze 12 „Łowca“, tegoż kalendarza punkt 6-ty, gdzieśmy zgodnie ze stanem prawnym obowiązującym jeszcze w pierwszych dniach grudnia 1936 powiedzieli, że na niedźwiedzie wolno polować od 16 grudnia do 15 stycznia. Obecnie bowiem nie wolno wogóle na nie polować.

Nie wdając się w ocenę celowości zupełnego zakazu polowania na niedźwiedzie, musimy jednak wyrazić zdziwienie, że takie rozporządzenie ogłoszono w Dzienniku ustaw, który okazał się dopiero 15 grudnia b. r. a zatem na jeden dzień przed rozpoczęciem okresu, w którym według dotąd obowiązującego prawa przewidywano możność polowania na niedźwiedzie.

Tak późne wydanie i ogłoszenie rozporządzenia ochronnego mogą spowodować niepożądane konflikty myśliwych z władzami.

TREŚĆ NUMERU 1:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50